Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 12 lipca 1936 r. Nr. 28.

L I L J E

W zadumie stoją śnieżno-białe lilje,
Patrzą wyniośle w jasny nieba błękit,
Czyściutkie jako opłatek w wigilje,
Który wędruje od ręki do ręki.

Gdy spłynie cisza letniego wieczoru,
Zamknie kielichy swoją miękką dłonią,
Stoją jak mniszki zwołane z klasztoru
I cicho modlą się swoją wonią.

Lilje znów kwitną — cudne, białe kwiaty —
Lilje — ogrodu mego królowe,
Kwitną tak samo, jak ongiś przed laty,
Wonią się modlą — więc też schylam głowę.

Słucham poszeptów tajemnych i gwarzeń,
Które zlewają się w harmonję tonów
I znowu idę aleją swych marzeń...
— Marzeń najśmielszych nieznanych nikomu.

Celina Lewandowska.



MARJAN BRONISŁAWSKI

27)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Jedną po drugiej oddalała, ale i to nic nie pomagało. Dziewczęta, przychodzące do „Rajskiego kącika“, mającego już ustaloną sławę w kołach półświatka, nie były trudne do zdobycia, a fawory Hardena pochlebiały im i imponowały.

Widząc, że nie potrafi okiełznać rozhukanego małżonka, Greta machnęła ręką i próbowała pocieszać się na swój sposób, z tą tylko różnicą, że zamiast wyjeżdżać na hulanki z przygodnymi adoratorami, urządzała pijatyki i orgje na ich koszt, ale u siebie i z tego nawet czerpała pokaźne dochody.

Harden widział to wszystko, ale udawał, że nie widzi. Dobrze mu było w takim stanie rzeczy i zmian żadnych nie pragnął. Zadowolenie jego mąciła tylko myśl o niebezpiecznym współzawodniku, silnym już prawie, jak on sam, Gerberze. Obawiał się go i nienawidził całą duszą. Wiele byłby dał, żeby pozbyć się dawnego spólnika, a teraźniejszego wroga, ale wiedział, że Gerber narówni z nim pilnuje się i otacza przyboczną strażą zaufanych i zdeterminowanych ludzi.

W obecnym właśnie czasie pojawił się w „Rajskim kąciku“ nowy gość, który co wieczór przybywał z miasta i spędzał co noc kilka godzin na pijatyce i grze w karty ze stałymi bywalcami knajpy.

Był to człowiek w średnim wieku, ubrany niezbyt starannie, nie zawsze czysto ogolony i widocznie nie bardzo dbały o zewnętrzny wygląd. Płacił za wszystko gotówką, ale wiele nigdy nie wydawał. Podejrzewano go z początku, że jest agentem federalnym, ale podejrzenia te rozwiały się wkrótce, gdy Hardenowa zauważyła, że nowy stały gość starannie unika wszystkiego, co ma styczność z policją.

Okazało się bowiem, że ilekroć do sali „Rajskiego kącika“ wszedł policjant czy detektyw, ów gość spiesznie odwracał się i tak manewrował twarzą, by wzrok urzędnika nie padł na nią, a skoro nadarzyła się sposobność, wysuwał się chyłkiem z sali, by wrócić po wyjściu policjanta.

Spostrzeżenie to dało Hardenowej wiele do myślenia. Gdy opisana scena kilkakrotnie się powtórzyła, Greta powiedziała o wszystkiem mężowi.

Harden przez kilka dni bacznie obserwował przybysza i wreszcie przyszedł do przekonania, że ów gość ukrywa się przed policją, mając z nią jakieś porachunki. Nie uważał tego za rzecz zdrożną, tembardziej, że „Rajski kącik“ roił się od wszelkiego rodzaju podejrzanych osobników, którzy także nie chcieli wchodzić w drogę policji.

Pewnej nocy, gdy nadeszła pora płacenia rachunku, gość ów zbliżył się do bufetu, za którym siedziała Greta Harden i oświadczył jej, że zabrakło mu pieniędzy do zapłacenia. Greta w pierwszej chwili oburzyła się i miała już zawołać olbrzymiego Sama, by wyrzucił niepłacącego gościa za drzwi, gdy ten z wielce tajemniczą miną oznajmił jej, że rachunek może wyrównać, ale musi pomówić z samym gospodarzem.

— A dlaczegoż nie może pan tego ze mną załatwić? — spytała, mierząc go podejrzliwym wzrokiem. — Mój mąż nie zajmuje się takiemi sprawami. To, co chce pan z nim załatwić, śmiało może pan załatwić ze mną.

Gość obejrzał się poza siebie i widząc, że nikt go nie obserwuje, sięgnął do kieszeni i wyjąwszy z niej jakiś mały przedmiot, owinięty w kawał bibułki, podał go Grecie ze słowami:

— Skoro pani tak mówi, powiem o czem chciałem mówić z panem Hardenem. Mam tu ładny pierścionek z brylantem i chciałbym go sprzedać. Niech go pani obejrzy i przekona się, że wart kilkanaście razy tyle, ile wynosi mój rachunek. Proszę go wziąć, odtrącić sobie należytość, a resztę oddać mi w gotówce.

— Chwileczkę — odpowiedziała Hardenowa wstając z krzesła. — Tu nie mogę tego oglądać, bo zbyt wiele oczu na nas patrzy. Niech pan siada przy swoim stoliku i czeka, aż wrócę. Zresztą muszę pokazać ten pieścionek mężowi, on zna się na tych rzeczach lepiej ode mnie.

— Doskonale — rzekł. — Co zaś do ceny pierścionka, pozostawiam ją państwu do wyznaczenia.

Odszedł od bufetu i usiadł przy stoliku, a Greta znikła za drzwiami, prowadzącemi na górę. Po chwili weszła do gabinetu męża, który właśnie mówił coś przez telefon.

Na widok wchodzącej, szybko zakończył rozmowę, słuchawkę zawiesił i spojrzał pytająco na Gretę.

— Słuchaj, Mike, — rzekła podając mu błyszczący pierścionek. — Obejrzyj to i powiedz, ile warte. Zdaje mi się, że brylant prawdziwy.

Harden uważnie przyjrzał się kamieniowi.

— I mnie się tak zdaje, — odpowiedział, — ale muszę go obejrzeć przez lupę. Jeżeli nie ma skazy, wart conajmniej pół tysiąca.

Wyjął z szuflady biurka jubilerską lupę i starannie badał przyniesiony brylant.

— Czysty — rzekł. — Skąd go masz?

Greta uśmiechnęła się.

— Od tego gościa, co to nie lubi, żeby policja zaglądała mu w oczy. Przyszedł do mnie przed chwilą i nie mając pieniędzy na zapłacenie rachunku, chciał widzieć się z tobą. Nie wiedziałam, czego chciał i powiedziałam mu, że nie masz czasu. Wtedy pokazał mi pierścionek...

— Aha... Wyczerpała się panu gotóweczka i chce się pozbyć reszty łupu z jakiejś roboty. Odrazu domyślałem się, że to jeden z rycerzy łomu i wytrycha.

— Jasna rzecz, bo skądże by wziął damski pierścionek takiej wartości.

— Wiesz, Greta, ten człowiek zaczyna mi się podobać. Chciałbym z nim pomówić. Sprowadź go tu, tylko ostrożnie, żeby nikt na sali nie domyślał się, że idzie do mnie. Najlepiej niech wyjdzie frontowem wejściem i dostanie się na górę tylnemi drzwiami. Pierścionek tymczasem tu zatrzymam.

Hardenowa wróciła do sali i spojrzała znacząco na gościa. Ten dokończył stojącej przed nim butelki wina i podszedł do bufetu.

— Mąż chce się z panem rozmówić — rzekła Greta. — Niech się pan nie krępuje rachunkiem, tylko proszę wyjść za chwilę z sali i obejść cały budynek dokoła. Idąc ciągle w prawo, natrafi pan drzwi w tylnej ścianie domu. Drzwi te będą otwarte. Niech pan wejdzie i prosto po schodach uda się na górę. Zresztą ja sama będę przy drzwiach i pokażę panu drogę.

— No, a pierścionek? — spytał, udając niepokój w głosie.

— Jest u męża. Tam też dostanie pan pieniądze. Tylko proszę uważać, żeby nikt nie widział, że pan idzie na górę. Gdyby kto stał przed wejściem do sali, niech pan chwilę pokręci się i poczeka. Rozumie pan?

— Doskonale.

— Więc niech pan jeszcze chwilkę posiedzi i za parę minut, jak pan zobaczy, że wyszłam z za bufetu, niech pan opuści salę. Żeby nie wzbudzić podejrzenia, udam teraz, że wydaję panu resztę, jakby pan rachunek zapłacił.

Zakręciła korbką kasy i wysuwając szufladę wyjęła z niej kilka papierowych dolarów, które położyła na bufecie.

Gość zabrał papierki, skinął głową gospodyni i wrócił do stolika, gdzie posiedział kilka minut, paląc cygaro. Na widok Grety wychodzącej do drzwi, wstał, położył ostentacyjnie dolary dla usługującej dziewczyny i skierował się ku głównym drzwiom, obok których stał ubrany w jaskrawą liberję murzyn.



Ku czci tragicznie zmarłej w r. ub. belgijskiej królowej Astrid, nazwano jeden z placów Paryża placem jej imienia. Na placu tym wznosi się od dłuższego czasu pomnik przyjaźni francusko-belgijskiej, przedstawiony na naszej rycinie.

Na widok zbliżającego się gościa murzyn szeroko otworzył drzwi i przepuścił wychodzącego.

Przed wejściem do „Rajskiego kącika“ nie było nikogo. Gość szybkim krokiem przeszedł na tył zabudowania i doszedł do drzwi w chwili, kiedy właśnie otworzyła je Greta Harden.

Szybko weszli na górę, gdzie Hardenowa wskazała mu drzwi gabinetu męża, a sama spiesznie wróciła do dolnej sali.

Przystanął kilka sekund przed drzwiami i lekko zapukał.

— Proszę wejść! — ozwał się natychmiast niski głos Hardena.

Gość nieśmiało otworzył drzwi, wszedł do gabinetu i mnąc w rękach czapkę, stanął tuż przy drzwiach, jakby onieśmielony widokiem wspaniale urządzonego pokoju i okazałej postaci butlegierskiego potentata.

Harden badawczem okiem zmierzył postać stojącego i wskazując ręką głęboki, skórą wyściełany fotel, ustawiony tuż przy biurku w ten sposób, że światło stojącej lampy elektrycznej padało wprost na twarz siedzącego, pozostawiając w półcieniu twarz osoby siedzącej za biurkiem, ozwał się krótko:

— Siadaj pan.

Gość nieśmiało usiadł.

Harden chwilę patrzał na niego badawczo, wreszcie spytał:

— Jak się nazywasz?

Zapytany zawahał się cokolwiek i jakby po chwilowym namyśle, odrzekł:

— Karol Wheeler, ale...

— Ale to nie jest twoje prawdziwe nazwisko, co?

— Nie. Równie dobrze mógłbym panu powiedzieć Smith, Green czy O'Hare...

— Aha. Zresztą mniejsza o to. Możesz się nazywać, jak ci wygodniej, to mnie nie obchodzi. Chciałbym jednakże wiedzieć, skąd się tu wziąłeś i jaki jest rodzaj twojego sposobu... hm... zarobkowania?

— Dawniej pracowałem w składzie jubilerskim, ale od dłuższego czasu nie mam żadnego stałego zajęcia.

— Tak... No, a może powiesz mi jaką drogą dostał się ten pierścionek w twoje ręce?

— Mam go już oddawna, a teraz...

— Gadaj prawdę. Nie potrzebujesz się obawiać, że cię wydam. Chcąc kupić to od ciebie, muszę wiedzieć skąd pochodzi, rozumiesz?

— Ja... tego... właściwie...

— Chyba nie zechcesz mi powiedzieć, że kupiłeś ten kamień, bo najgłupszy by w to nie uwierzył.

— No, nie... ale nie chciałbym... Zresztą co tu dużo gadać... pierścionek pochodzi z roboty w Pittsburgu... Było nas trzech, tamci dwaj wyszykowali mnie w ten sposób, że zabrali prawie wszystko, a mnie zbyli kilkoma setkami i dwoma takiemi pierścionkami.

— Kiedy to było?

— Kilka tygodni temu. Gazety szeroko się rozpisywały o napadzie na skład jubilerski...

Harden przypomniał sobie, że rzeczywiście przed kilkoma tygodniami wszystkie pisma podały wiadomość, że trzech bandytów napadło na duży skład



W podobnych okolicznościach, jak królowa belgijska Astrid, zginęła podczas katastrofy samochodowej żona kanclerza Austrji Schuschnigga. Na miejscu tragicznego wypadku zbudowano obecnie kapliczkę, poświęconą nieszczęśliwie zmarłej żonie kanclerza.

jubilerski w Pittsburgu i pod grozą rewolwerów zamknęli właściciela z dwoma sprzedawaczami w bocznym pokoiku, poczem doszczętnie obrabowali skład i zemknęli, unosząc z sobą łupy wartości kilkudziesięciu tysięcy dolarów, nie licząc gotówki, która podówczas znajdowała się w kasie. Sprawa była tem głośniejsza, że bandyci uciekając zastrzelili po drodze policjanta, który chciał zatrzymać ich samochód.

— Aha... Wiem coś o tem, — rzekł Harden patrząc z pewnem uznaniem na swego gościa. — Ładny kawałek roboty. I dałeś się tak głupio wykiwać?

— Trudno. Nie spodziewałem się, że, zanim przyjdzie do podziału, tamci ulotnią się ze wszystkiem.

— A jednak dzieliliście się, skoro dali ci kilka set dolarów i pierścionki...

— Właśnie, że nie. Gotówkę zabrałem sam z kasy podręcznej, w której znajdowały się i te dwa pierścionki. Były widocznie już sprzedane, gdyż znalazłem je w szufladzie, umieszczone w pudełeczkach i opakowane. Gdyby nie to, ani centa zysku nie miałbym z całej roboty, bo mi spólnicy w drodze podstępnie ulotnili się z walizką, w której były spakowane całe łupy.

— Widzę, że mówisz prawdę. Ile chcesz za ten pierścionek? — zapytał Harden.

— To już od pana zależy. Pieniędzy potrzeba mi nagwałt, a oprócz tego kamyka nic nie mam.

Harden sięgnął do szuflady i wyjął sporą paczkę banknotów. Uważnie odliczył dwadzieścia dziesięciodolarówek i wręczając je gościowi, rzekł:

— Masz tu dwie setki. Daję ci więcej, niż dostałbyś od kogo innego. A gdzie masz drugi pierścionek?

— Sprzedałem w Bostonie znajomemu paserowi.

— Szkoda. Byłbym chętnie wziął i drugi. Ale skoro sprzedałeś, niema o czem gadać.

Gość schował pieniądze i powoli powstając, zabierał się do wyjścia, gdy Harden wstrzymał go ruchem ręki.

— Zaczekaj jeszcze. Pogadamy o czem innem.

Wheeler usiadł ponownie i sięgnął do kieszeni po cygaro.

Gospodarz uśmiechnął się i przysunął ku gościowi pudełko wybornych hawańskich cygar, poowijanych w listki błyszczącej cynfolji.

— Zapal sobie jedno z tych. Z pewnością lepsze od twoich. Po dolarze sztuka.

Wheeler wziął cygaro, odwinął je, powąchał i zapalił. To samo zrobił Harden.

Zapanowała chwila milczenia, którą gospodarz przerwał słowami:

— Czy możesz mi powiedzieć, jakie są twoje zamiary na przyszłość? Masz w tej chwili dwieście dolarów, ale te nie wystarczą ci na długo. Co zamierzasz robić, gdy je wydasz?

— Nie wiem. Trzeba będzie obejrzeć się za jaką „robotą“.

— Naturalnie. Tylko, że teraz nie łatwo o dobre i łatwe tego rodzaju roboty. Przytem do wszystkiego trzeba pieniędzy, a ty ich nie masz.

— A nie — potwierdził Wheeler z odcieniem smutku w głosie.

Harden chwilę myślał, patrząc spod oka na swego gościa, który tak otwarcie przyznał się do udziału w napadzie rabunkowym, zakończonym zabójstwem policjanta. Wreszcie puścił kilka gęstych kłębów dymu i rzucił nagle:

— A gdybym ci ofiarował korzystne miejsce u siebie, chciałbyś dla mnie pracować?

Przez twarz Wheelera przemknął się błysk zadowolenia.

— To zależałoby od tego, co pan uważa za korzystne, i jakiego rodzaju byłaby ta praca.

Harden powstał, wyszedł przed biurko i położył ciężką rękę na ramieniu Wheelera.

— Praca ładna. Potrzebuję ludzi odważnych i zaufanych i mam wrażenie, że takim właśnie ty jesteś.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

BRESZKO - BRESZKOWSKI

3)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

Od tego czasu O'Donnel pamiętał o Donkundzie i o Serbie - lekarzu. Zczasem zaangażował obu do wytwórni filmowej, pierwszego do pomocy i zdjęć filmowych, drugiego — w charakterze lekarza osobistego i całej trupy.

Gdy O'Donnel wszedł nazajutrz do namiotu Ammałata, wygolonego i palącego już, przypomniał sobie złośliwego eskulapa: „Słońce i w błocie odbija swe promienie."

Rzeczywiście przy bardzo dużem podobieństwie Ammałata i Gafaniego, można było odrazu odróżnić typy obu mężczyzn. Obaj byli piękni, ale Gafani był typem wschodnio - awanturniczym, co zwróciło uwagę O'Donnela i zmusiło do podpisania kontraktu.

Gafani mógł uchodzić z powodzeniem za zawodowego uwodziciela kobiet i za głośnego agenta politycznego.

Prawie takie same cechy u Ammałata były po sokolemu zaostrzone, przyczem wyczuwało się w nich rasowość azjatyckiego księcia.

— Niezmiernie jestem rad pana widzieć, jeśli jeszcze nie w zupełnem zdrowiu, to już na pewnej i szybkiej drodze do wyzdrowienia — zaczął O'Donnel po rosyjsku.

— Jeśli żyję, to tylko dzięki panu, dyrektorze, i pańskim szlachetnym przyjaciołom — odparł Ammałat, podnosząc głowę od poduszki. — Zapewniam pana, że jest mi niezmiernie przykro być powodem takiego ambarasu... Kiedy, czem i jak potr...

— Pan już się odwdzięczył! — uśmiechnął się O'Donnel. — Tak, tak, nawet pan nie podejrzewa... Fotografowaliśmy pana, i wczoraj, przeglądając film, przekonałem się, co to za drogocenne zdjęcia... Jaka wstrząsająca dokumentalność!... Czuję już jakie powodzenie będzie miał ten film. Właściwie jesteśmy pana dłużnikami... Nie dziwi się pan mojej rosyjskiej mowie?

— I dziwię się i nieskończenie jestem rad!

— O! tu u nas takie samo pomieszanie języków, jak u podnóża wieży Babel! Istne „kino - międzynarodówka." Ja jestem Francuzem, który do dwudziestu lat mieszkał w Moskwie. Zeraicz - serb, Donkunda - Murzyn, Savedra - Hiszpan, Mar-Molli - Węgierka, nasz komik Gromenia - Włoch, szoferzy — Mulat, Australijczyk, Francuz i Grek z Epiru... Reszta służby w tymczasowym rodzaju i w końcu Gruzin Antadze - szef naszej kuchni. Jeśli pan jest amatorem wschodnio - kaukaskiej kuchni, mogę zaręczyć, że będzie pan zadowolony!

O'Donnel poczęstował Ammałata papierosem i sam zapalił. Stawiać jakiejkolwiekbądź pytania „darowi pustyni" nie wypadało. Ammałat wyczuł tę subtelność i sam rozpoczął:

— Panie Dyrektorze, zupełnie zrozumiałą jest rzeczą, że winien pan wiedzieć, kogo przygarnął i obdarzył tak czułą i niezapomnianą opieką! Zwłaszcza w tych czasach, gdzie tylu się wałęsa różnych włóczęgów i samozwańców. Przedewszystkiem proszę zajrzeć do mojego paszportu.

Ammałat sięgnął po leżący na nocnym stoliku portfel.

— Na miłość boską, — rzekł O'Donnel — w zupełności wystarczą mi słowa pana i, jeśli pan ma ochotę porozmawiać ze mną — zamienię się cały w słuch!

Na młodocianej twarzy O'Donnela odbiła się nietylko uwaga, ale i wielkie współczucie, współczucie „na kredyt" do człowieka, którego wcale nie znał...

To przepełniło Ammałata chęcią szczerego zaznajomienia O'Donnela ze swoją przeszłością i teraźniejszością.

Zaciągnął się jeszcze raz, zgasił niedopałek i, nie spuszczając oka z rozmówcy, zaczął:

— Pan jest napoły Rosjaninem i zapewne słyszał pan o stepowem chaństwie Mugańskiem? Leży za morzem Kaspijskiem. Nasze chaństwo, ja mówię „nasze", ponieważ jestem księciem dziedzicznym tegoż, było wasalem Rosji, z zachowaniem naszej dynastji i naszego samorządu. Naprzykład, jak Buchara. Biliśmy własną monetę, mieliśmy własną armję, własne ordery. Ja, Ammałat - Chan Mugański we wczesnem dzieciństwie zostałem osierocony. Matka umarła przy mojem przyjściu na świat, a ojciec, panujący Chan Szerim, zginął z rąk skrytobójców, nasłanych przez sąsiedniego chana... Miałem wówczas pięć lat. Wychowaniem mojem zajął się regent chaństwa mój dziadek Ałmaz - Chan.

To było wychowanie w duchu stepowych najeźdźców. Mając dziesięć lat, uprawiałem dżigitówkę na najbardziej dzikich ogierach, władałem kindżałem i szablą. Zręcznie zarzuconym arkanem mogłem zwalić nietylko jeźdźca, ale nawet bawoła. Gorzej było z nauką. Czcigodny mułła jakotako przeszedł ze mną Koran, a sprowadzony z Petersburga nauczyciel dopomógł mi w sztuce czytania i pisania. Rosyjski język był konieczny do wstąpienia do Korpusu Paziów, co było postanowione jeszcze przez mojego nieboszczyka - ojca i cara Mikołaja II...

I oto, wprost z rodzinnych stepów, przeniosłem się do cesarskiego Petersburga, z jego wspaniałym dworem, z jego zimną okazałością i „kazionnym" przepychem.

W nauce niebardzo się wyróżniałem, nieco łatwiej szło mi z francuskim. Zato w mustrze, jeździe konnej, gimnastyce, szermierce byłem pierwszy. Oficerowie gwardji przychodzili do ujeżdżalni Korpusu Paziów, by widzieć, jak jeździ, bierze przeszkody i dżygituje szesnastoletni paź - Chan Mugański.

Wygląd azjatyckiego drapieżnika, tytuł Wysokości, wypchany portfel, opinja mugańskiego „Centaura", szykowny mundur pazia — wszystko to wyrobiło mi bardzo wcześnie dostęp do towarzystwa i powodzenie u kobiet...

— Pan musiał być bardzo przystojnym paziem? — zauważył O'Donnel.

— Po upadku imperjum rosyjskiego, po wszystkich burzach wydaje mi się to czemś dalekiem, jakimś dawnym snem... I moje lata w Korpusie Paziów, i pierwszy przydział do grodzieńskiego pułku huzarów w Warszawie. Na całym świecie niema piękniejszego munduru nad mój huzarski! Pamiętam, jak cesarz Wilhelm zachwycał się tym mundurem, podczas pobytu delegacji naszego pułku w Poczdamie. A po roku walczyliśmy z Wilhelmem. Na początku wojny cesarskim prikazem zostałem przeniesiony do kawalerji tekińskiej, gdzie dowodziłem mugańską sotnią.

Takiej kawalerji nie było i nie będzie więcej. Jeźdźcy, piękni, przystojni, wysmukli, najlepsi w stepach Turkestanu. Wszyscy mieli na głowach jak śnieg białe papachy. Konie jak smoki.

Na sam widok naszej konnicy, austrjaków ogarniała panika. A nasze żywiołowe ataki, krzyk „Ałła" i przeraźliwe rżenie koni!?...

Ammałat, podniecony wspomnieniami tych ataków w świetle pożarów galicyjskich wiosek, gdzie legendarni jeźdźcy ze stepów Azji w swoich dziwacznych białych baranich czapkach siekli i tratowali nieprzyjacielską piechotę i kawalerję, snuł swoją opowieść.

Zapał ostygł, zgasły ogniki w oczach.

Ammałat opadł na poduszki.

O'Donnel milczał. Wspomnienia lat wojennych wskrzesiły w nim napoły zapomniane wizje. On też widział wściekłe ataki francuskiej kawalerji kolonjalnej, która również z krzykiem „Alla" zmiatała wroga, jak i jej współwyznawcy Turkmeni i Mugańcy.

A potem — mówił dalej Ammalat — tę czarowną bajkę, może krwawą, okrutną, ale bohaterską, zaćmiła rewolucja i rozkład armji. Z resztkami swojej sotni, walcząc, posuwałem się na południe Rosji przez morze anarchji. Trzy lata walki z bolszewikami... Agonja Krymu... I oto, pożegnawszy ostatni skrawek ojczystej ziemi, znalazłem się na obczyźnie.. Ach, jak strasznie tęskniłem za Rosją!... Tą dawną Rosją bogatą, dumną, wielką!... Za swojemi stepami, dokąd, gdyby nie wojna, wróciłbym jako chan panujący.

— Tyle rozwianych iluzyj, straconych istnień ludzkich — westchnął O'Donnel. — A co się stało z dziadkiem pana, czy żyje jeszcze?

— Podług wiadomości, które posiadam, jeszcze żyje! — odrzekł Ammalat, nie wspominając o skrawku gazety, który schował do portfelu. Jeśli przemilczał o tem, to nie dlatego, by nie darzył zaufaniem swojego rozmówcę — on mu wierzył — lecz był to tylko przesąd ludzi Wschodu, który nigdy, nikomu nie mówią o rzeczach, których bardzo pragną i do których dążą z obawy przed niepowodzeniem.

— Przepraszam chana, przeszkodziłem...

— Proszę bardzo! — A potem, potem w Konstantynopolu dowiedziałem się z gazet, że republika Korduela poszukuje instruktorów do zreorganizowania armji. Udałem się do konsulatu tej republiki i ofiarowałem swoje usługi. Na rachunek konsulatu zostałem wysłany do Kordueli. Jechałem z wielką radością, bo to i nowy, daleki kraj i czekała mnie praca, którą tak lubiłem. Siedem lat zabijałem innych i sam ciągle nastawiałem głowy... Czegoż mógłbym uczyć, jak nie sztuki zabijania i równocześnie umiejętności ochraniania własnej głowy?

W dalszym ciągu swojego opowiadania Ammalat streścił znane już nam dzieje.

— Tak, tak! — pochwycił O'Donnel — już wczoraj poranne gazety w Nowej Kartaginie pisały o przewrocie w Chuelwie. Pana przyjaciel Berbasan został dyktatorem... czy na długo?

Do namiotu wszedł Zeraicz.

— Na pierwszy raz wystarczy! Nie można męczyć chorego...

— Ten wstrętny eskulap już mnie goni, ale ma rację — wynoszę się! Nagadamy się jeszcze z panem. Dodam tylko, że tak się uratować, jak pan, to wielkie szczęście!

— Allach jeszcze nie wypowiedział swojego ostatniego słowa — rzekł Chan Mugański — nad wszystkiem czuwa Jego Święta Wola!

8. Gafani jest bardzo ciekawy...

Komik Gromenia nie zawsze był komikiem. Trzydzieści pięć lat temu, będąc młodym czerwonolicym brunetem, on przybył do Petersburga, mając ze sobą mandolinę z niebieską wstążeczką.

Prócz mandoliny miał również głos, niewielki, coprawda, ale przyjemny, jak wogóle u wszystkich Włochów.

Gromenia z powodzeniem występował w arystokratycznych salonach. Dobrze płacony i karmiony żył sobie w ten sposób beztrosko wiele lat. Lecz wszystko zużywa się na świecie, a w szczególności głos i wygląd zewnętrzny.

Stary Gromenia zaczął wzbudzać litość. Otrzymywał franki nie za śpiew, ale za swój nędzny wygląd.

Poniżanie się ciążyło mu początkowo, ale zczasem przyzwyczaił się i do tego.

Swoją żebraczą i samotną starość nauczył się zagrzewać winem. Dobroć, posuniętą do sentymentalności, przeplatał cynizmem dawnego ulubieńca losu i kobiet.

O'Donnel, który przypadkowo spotkał eks-wykonawcę neapolitańskich piosenek, podszedł do niego z tej strony, z której jeszcze nikt do niego nie podchodził. On obserwował twarz Gromenii ruchliwą, elastyczną, pełną łobuzerskiego wyrazu, to znów natchnioną, zmienną, czasami bardzo śmieszną.

To spotkanie z miejsca odwróciło smętny los starca ku lepszemu.

I to jeszcze jak ku lepszemu!

Został przyjęty do trupy w charakterze komika. Za swoją nadzwyczajną fotogeniczność i zdolności otrzymywał pięć tysięcy miesięcznie oraz całkowite utrzymanie podczas wyjazdów.

Wiedząc, że pełen temperamentu Gromenia jest gadułą, a szklanka wina podwaja jego temperament i gadulstwo, Gafani szukał jego towarzystwa.

Samochody dyrekcji były, dzięki uprzejmości O'Donnela, do dyspozycji trupy. Aktorzy mogli jeździć do Nowej Kartaginy, oddalonej o dwadzieścia kilometrów od obozu.

Gafani woził Gromenję do miasta, zaciągał do baru i tam rozwiązywał winami, szampanem i likierami jego i tak już skory do wynurzeń język.

Pewnego razu Gafani poruszył najbardziej interesujący go temat o Mar-Molli.

— Maestro, co może pan powiedzieć o tej artystce?

— Dio mio, co może powiedzieć biedny, przez wszystkich zapomniany Gromenia.. Czy nie wystarcza panu reklama w gazetach?

— Znam wartość gazetowej reklamy — wykrzywił twarz Gafani. — Szkoda złamanego pezo. Lepiej niech mi pan sam powie, co o niej wie i słyszał...

— Mar-Molli: „Ecco un bel pezzo di carne!" — Zaiste smaczny kąsek kobiety! — westchnął Gromenia, mieszając francuski język z włoskim. — Widziałem różne kobiety w swojem życiu... Ach, jakie piękne hrabiny i księżny całowały te usta! I mimo to, powiem panu, Mar-Molli — to prima klasa! Bierze wszystkiem, per Bacco! Gromenia — to stara szkoła... Gromenia nie zachwyca się dzisiejszemi płaskiemi kobietami... Sardynki jakieś, jak Boga kocham! Ani piersi, ani bioder — niczego nie mają! Komu się to zda? Ach, pamiętam, dawne kobiety... Pierś wypukła, szczupła w pasie, wspaniałe, okrągłe biodra... Otóż ja panu powiem: Bar-Molli właśnie należy do tej klasy, ale wszystko ma w miarę i wzrost i kształty, wszystko pełne harmonji, wszystko piękne! A te dojrzałe usta, te ciemno-niebieskie oczy, te fijołki, mamma mia, mamma mia! Ujmijcie Gromenji lat dwadzieścia pięć...

— Już dość! Przygryź pan język! — ostro przerwał mu Gafani. — Czy ja pana o to wszystko pytałem? Jej cechy zewnętrzne są mi i bez pana znane, a pańskie głupie komentarze wcale nie są ciekawe...

Speszony starzec zamrugał oczyma, bojąc się, że nie dogodził człowiekowi, który go tak hojnie częstował.

— Per Bacco! zrobiłem wsypę! Już taką mam zapalczywą naturę! Gromenia takim umrze! Ale czego właściwie pan ode mnie żąda?

— Kim ona jest? Skąd pochodzi? Z kim utrzymywała stosunki i utrzymuje?

— Mio-Dio! od tego trzeba było zacząć! Można jeszcze kieliszek benedyktynki, nie likier, a ogień?

Gromenia przechylił kieliszek i oblizał się...

— Kim ona jest? O! — z bardzo dobrej rodziny... Córka znanego węgierskiego generała Bem-Ermoli. Elegancki generał kawalerji! Podczas wojny dowodził armją. Potem zajął Odesę z temi, jak się nazywa, okupacyjnemi wojskami. Jego młodsza córka, to właśnie nasza gwiazda. Margite Bem-Ermoli. Po skróceniu otrzymała efektowny pseudonim Mar-Molli... Ale... i Austrję zalała ta przeklęta rewolucja, Węgry też...

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 96)

„Naturalnie“, zauważył Morizano, „w Londynie niema takiego człowieka, któryby się odważył spełnić pańskie życzenie, — z wyjątkiem mnie.“

„Pan? Przecie pan nie posiada zakładu, — przynajmniej obecnie!“

„Prawda! Lecz po kilku tygodniach zostanę właścicielem zakładu dla obłąkanych.“

„Tak?“ zapytał Ralf, „dotychczas sądziłem, że pan stracił cały swój majątek, — opuszczając nagle Niemcy!“

„Słusznie! Znam jednak pewnego pana, który mi dostarczy odpowiednich środków na otworzenie zakładu dla obłąkanych.“

„Kto taki?“

„Pan baronet.“

Ralf zdziwił się. Nie dużo brakowało, a byłoby mu wypadło z ust cygaro, które zapalił po śniadaniu.

„Ja?“ zawołał, „kochany doktorze, mylisz się, jeżeli sądzisz, że ci dostarczę kapitału na założenie domu warjatów.“

„Żądam tego od pana. Nie rozumie mnie pan baronet? W przeciągu trzech dni potrzebuję pięć tysięcy funtów szterlingów. Tymczasem mi to wystarczy. Oglądnąłem już budynek, położony w samotnem miejscu i odpowiadający zupełnie moim wymaganiom. Tak zwany zamek szczurów, o którym pan baronet zapewne także słyszał.“

„Straszny dom!“ zawołał Ralf.

„Wyborny do mojego celu! — Ponadto kosztuje tylko dwa tysiące funtów szterlingów. — Resztę pieniędzy potrzebuję na przyjęcie służby i na odnowienie „zamku szczurów“, który wkrótce będzie znany w całej Anglji. Teraz wiemy, gdzie Elżbieta zakończy życie. W moim zakładzie otrzyma mała cele. Umywam jednak ręce, gdyby z braku powietrza lub żywności umarła po kilku tygodniach. Żal mi jej będzie, lecz — niestety nie mógłbym jej pomóc.“

„Morizano, jesteś pan skończonym łotrem!“

„Łotrem w służbie wielmożnego pana!“ zaśmiał się Morizano. „Panie baronecie, proszę o te pięć tysięcy funtów szterlingów, i to najdalej za trzy dni.“

„Pięć tysięcy funtów?“ zawołał Ralf, chodząc niespokojnie po pokoju, „za dużo żądasz, mój przyjacielu! — Chcesz bym ci dał pięć tysięcy bez żadnej gwarancji? Wątpię bardzo, czy w tak krótkim czasie uda mi się zaciągnąć nową pożyczkę!“

„Jakto, pan nie chcesz spełnić mojej prośby?“ zawołał Morizano, „oh, proszę darować, nie mam dłużej czasu. Muszę iść do biura telegraficznego i nadać depeszę.“

„Depeszę — do kogo?“

„Do lady Elżbiety Ravington. Zatelegrafuję.

„Przyjeżdżaj pani, pomogę do osiągnięcia spadku.

Doktor Morizano.“

„Ah, łotrze, czekaj!“

„Nie powiedziałem, panie baronie, że jeden szubrawiec potrzebuje drugiego? Taki ten świat!“ — — —

Po trzech dniach doktor Morizano otrzymał pięć tysięcy funtów szterlingów.

W ten sposób Morizano przyszedł do domu warjatów, jakiego nie było nigdy przedtem w Anglji.

Policja nie miała żadnego podejrzenia. Nie wiedziano, że „zamek szczurów“ przemienił się na straszne siedlisko nędzy i nowoczesną kaźnię tortury! — — — — — — — — — — — —

CLV.

W kufrze

Doktor Morizano, kupując opuszczony budynek, myślał przedewszystkiem o własnej korzyści i kieszeni.

W zbytkownie urządzonym salonie siedział Morizano i Alfred Robber. Przed chwilą zjedli wyborne i obfite śniadanie.

„Kochany doktorku, możemy sobie pogratulować,“ zawołał Robber. — „Dzisiaj mamy w naszym zakładzie przeszło czterdziestu chorych, a wszystkie dane przemawiają za tem, że za pół roku podwoi się liczba naszych pacjentów.“

„Bezwątpienia“, odparł Morizano; „nie myślałem nigdy o takiem powodzeniu. Widocznie mój zakład jest nadzwyczaj potrzebny w tym kraju. Ze wszystkich stron otrzymałem listy. Właściwie potrzebuję tylko wybierać między chorymi. Naturalnie wyszukałem takie osoby, na których będzie można najwięcej zarobić.“

„Jak pan sądzi! Czy policja londyńska nie podejrzywa naszego zakładu?“

„Nigdy w świecie!“ zaśmiał się Morizano i pogładził siwą brodę, „angielscy detektywi nie mają pojęcia, co się u mnie dzieje. — Przeciwnie, władza wspiera nawet mój zakład i uważa go za konieczny i pożyteczny.“

„Zatrzyma pan nadal system więzienia chorych w odosobnionych celach?“

„Naturalnie“, zawołał Morizano i wyjrzał przez okno na szare morze. „Nie pozwolę nigdy, by chorzy widywali się wzajemnie. Każdy pacjent dostanie celę, z której nie wyjdzie więcej. Uważam także na służbę. Chwała Bogu, że nam się uda złowić tych Pifferonów. Dziękuję ci serdecznie, mój przyjacielu, żeś ich do mnie przyprowadził.“

„Spodziewam się, że jesteście ze mnie jako ze swojego asystenta, zadowoleni,“ zawołał Alfred Robber. — „Leczę chorych podług mojej metody.“

Równocześnie wskazał ręką na rózgę leżącą na stole.

„Ja tak samo nie zważam na chorych,“ odparł głucho doktor Morizano. „W Niemczech popełniłem duży błąd, żem trzymał chorych długo przy życiu, jeżeli rodzina nie żąda wyraźnie śmierci. — Poco ludzie mają się tak



Mały Pitt musi zapłacić karę, gdyż zeszedł na bezdroża, gdzie spotkał się oko w oko z policjantem.

długo męczyć? Szybka śmierć jest przecie lepszą od ustawicznych cierpień! Po drugie, nie trzeba tak długo żywić pacjentów. Trumna i grób nie kosztują nigdy tyle, co czterotygodniowe utrzymanie.“

„Mówimy o jedzeniu; powiedz mi, doktorze, jak ci się podoba ta kucharka z Irlandji? zapytał Alfred Robber.

„Ta czerwona czarownica?“ zawołał Morizano, „głupia jak kołek w płocie. Pracuje chętnie i dobrze. Mojem zdaniem nie potrzebujemy się z jej strony obawiać zdrady; zresztą nie styka się nawet z chorymi. Po drugie jest za bardzo ograniczona, by mogła odgadnąć nasze zbrodnicze postępowanie. Za pieniądze będzie milczeć.“

W tej chwili otwarły się drzwi i w progu stanął stary Pifferon.

Grabarz wychudł jak chmielowa tyka; był podobny do cienia, przesuwającego się po ścianie.

Z jego lisiej twarzy spoglądała para złowrogich oczu o nieprzyjemnym połysku.

„Co nowego, ojcze Pifferon?“ zapytał Morizano. „Wiecie dobrze, jak macie postępować, jeżeli chorzy nie słuchają rozkazów! Weźcie rózgę i bijcie bestje dopóki się nie opamiętają.“

„W celach panuje porządek,“ odparł Pifferon grobowym głosem, „jakiś obcy mężczyzna pragnie mówić z panem.“

„Obcy? Może wygląda podejrzanie?“

„Nie! Wygląda na kamienicznika lub właściciela dóbr. Dziwi mnie tylko, że przyjechał z kufrem.“

„Z kufrem? Kazał go wnieść do domu?“

„Nieznajomy przyjechał w powozie,“ odparł Pifferon, „i z pomocą woźnicy postawił w bramie kufer. Widocznie nowy pacjent. Może zauważył początki warjactwa i chce zamieszkać u nas na stałe.“

„Dobrze, wprowadźcie go do mego pokoju,“ zawołał Morizano. „A ty, Al-

fredzie Robberze, zaglądnij do chorych i patrz, czy wszystko jest w porządku."

Alfred Robber i Pifferon wyszli z pokoju. Morizano udał się do swojej kancelarji, w której przyjmował zwykle odwiedziny.

Biuro doktora było urządzone z wyszukanym komfortem.

Piękna sofa stała pod ścianą, a z wysokiej szafy wyglądały szeregi uczonych dzieł. Szerokie biuro z telefonem, stało obok okna. Doktor usiadł na fotelu przy biurku.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Do kancelarji wszedł nieznajomy mężczyzna.

Stary Pifferon ocenił go zupełnie słusznie. Wyglądał na właściciela dóbr, albo dzierżawcę.

Wysoka postać mężczyzny ukrywała się w długim płaszczu, który nie wyglądał wcale na robotę angielskiego krawca. Na głowie miał biały cylinder, jak to niegdyś było w modzie przed dwudziestu laty. W ręce trzymał laskę ze złotą gałką.

Opalona twarz nieznajomego była otoczoną jasną brodą.

Doktor Morizano podniósł się z fotelu i zbliżył się do nieznajomego.

„Z kim mam przyjemność?" zapytał, mierząc badawczo twarz gościa.

Domniemany dzierżawca oglądnął się ostrożnie po pokoju. Zwłaszcza badał ściany, jakby chciał się przekonać, czy w nich niema ukrytych przewodów, przez które niepowołana osoba mogłaby podsłuchać jego rozmowę. Następnie położył kapelusz i laskę na stołku.

Domniemany dzierżawca oglądał się swemu zdziwieniu, że nieznajomy pod wiejskim płaszczem nosił eleganckie, czarne ubranie, które nadawało mu zupełnie inny wygląd.

Morizano osłupiał; nieznajomy zerwał szybkim ruchem ręki bokobrody i jasną perukę.

Morizano cofnął się z przerażeniem i przycisnął ręką guzik elektrycznego dzwonka, dając w ten sposób znak Alfredowi Robberowi, by mu przyszedł z pomocą.

Nieznajomy chwycił go jednak za rękę i zawołał:

„Doktorze Morizano, nie obawiaj się pan zdrady. Przyszedłem, chcąc panu zaproponować świetny interes."

„Z kim mam przyjemność mówić?" zawołał Morizano.

„Dziwię się, że moja twarz jest panu nieznana!" odparł nieznajomy. „Musiałeś ją pan widzieć w ilustrowanych dziennikach. Gdy panu wymienię moje nazwisko, to jestem przekonany, że moja osoba zainteresuje pana z wielu względów. Nazywam się Edwin Lister, znany detektyw z Paryża."

Lister! — To słowo wystarczyło, by przerazić Morizano. Tak, znał to nazwisko! Wiedział, że przed nim stoi najsłynniejszy detektyw Europy, postrach wszystkich przestępców i zbrodniarzy.

Ten człowiek był w jego zakładzie! Stał przed nim, przybrawszy fałszywe ubranie.

Był to zły znak!



W dalekich, leśnych ostępach można nieraz podpatrzeć życie leśnych zwierząt. Oto bardzo piękna fotografja, którą udało się uchwycić ciekawemu obserwatorowi — fotografowi.

Doktor Morizano postanowił mieć się na baczności.

„Mój panie!" rzekł, przybierając obojętny wyraz twarzy, „jestem zwykłym uczonym i dotychczas nie miałem do czynienia z detektywami. Proszę, ale pańskie nazwisko jest mi zupełnie nieznane. Dziwię się tylko i nie mogę sobie wytłumaczyć, co pana sprowadziło do mnie."

„Zaraz się pan dowie," odparł Lister, „muszę jednak z góry uprzedzić pana, że nie mam złych zamiarów. Przeciwnie! Potrzebuję pańskiej pomocy! Zapłacę suto."

Lister usiadł na krzesełku i wskazał ręką doktorowi na fotel, stojący przy biurku.

Lecz doktor Morizano uważał za stosowne, mieć przy sobie świadka, zanim rozpocznie rozmowę. Udając, że szuka czegoś na biurku, przycisnął guzik elektrycznego dzwonka, wołając w ten sposób Alfreda Robbera.

Doktor Morizano zdziwił się bardzo, gdy detektyw Edwin Lister zwrócił się do niego uprzejmie i zawołał:

„Wzywa pan kogoś ze służby! Ah, widocznie boi się pan. Jeżeli pan nie chce mówić ze mną w cztery oczy, to wolę zrezygnować z rozmowy!"

Zanim doktor Morizano miał czas się usprawiedliwić, otwarły się nagle drzwi i do pokoju wszedł Alfred Robber.

W tej samej chwili zerwał się Lister i rzucił bystre spojrzenie na twarz Alfreda. Robber, zobaczywszy detektywa, cofnął się z przerażeniem, jakby zobaczył upiora. Wyciągnął obie ręce i zawołał:

„Doktorze Morizano, zginęliśmy! Edwin Lister stoi przed nami!"

„Nie powiedział pan nowiny doktorowi!" zawołał detektyw, „przed chwilą wyjawiłem doktorowi Morizano moje nazwisko. Fałszywe ubranie odłożyłem już dawno i stoję przed wami w mojej własnej osobie.

„Tam leży peruka, fałszywa broda, kapelusz, laska i płaszcz. Widzicie detektywa Edwina Listera, którego zapewne przypominacie sobie z dawniejszych czasów. — He, Alfredzie Robberze, jak to było w owej nocy, gdym cię wydał w ręce policji? Pamiętasz to wesołe zdarzenie?"

„Do djabla! Wówczas udała się panu sztuka! Mam ochotę zrewanżować się teraz."

„Alfredzie Robberze, uważałem cię za rozsądniejszego", rzekł detektyw, „i nie myślałem, że z powodu takiej bagateli narobisz tyle hałasu.

„W świecie zbrodniarzy najgorsi nieprzyjaciele zostają nazajutrz przyjaciółmi, jeżeli potrzebują wzajemnej pomocy! — Potrzebuję was, Alfredzie Robberze, i doktorze Morizano! Dlaczego przyszedłem do was nie jako detektyw Edwin Lister, lecz — "

„Satanelli!" zawołał Alfred Robber, „Markiz Satanelli!"

„Tak jest, mój przyjacielu! Jestem znany pod tem nazwiskiem w kołach zbrodniarzy. Markiz Sataneli odwiedził was dzisiaj i przywiózł ze sobą pacjenta!"

„Pacjenta?" zawołał doktor Morizano, „pacjenta?" powtórzył podejrzliwie. „Markizie Satanelli, chcesz nam oddać chorego?"

„Tak jest, mój doktorze! Przyjechałem z polecenia jednej rodziny, która nie życzy sobie, bym wymienił jej nazwisko. Pytam więc, czy pan przyjmie do swojego zakładu obłąkanego, który jednak nie powinien nigdy opuścić tego domu?"

„Tak"? odparł z pozornem oburzeniem doktor Morizano. „Panie Satanelli, to nie leży w mojej mocy, lecz w Bożej woli! Jeżeli Stwórca przywróci choremu zdrowie i rozsądek, wówczas może opuścić mój zakład. Otworzą się przed nim bramy tego domu i nikt nie odważy się go zatrzymać.

Markiz Satanelli wybuchnął ironicznym śmiechem, zbliżył się do Alfreda Robbera, poklepał go po ramieniach i rzekł:

„Robberze, nie traćmy czasu! Powiedz twojemu panu i mistrzowi, że kazania nie wywierają na mnie żadnego wpływu. Znam dobrze doktora Morizano, który twierdzi jednak, że nie ma przyjemności znać Edwina Listera. Powiedz mu, by się obchodził inaczej ze mną!"

Zwracając się do doktora Morizano, zawołał w opryskliwym tonie:

„Do djabła, doktorze, przyszedłem w interesie, a nie na moralne kazanie. Ty stary, siwy łotrze, jeżeli chcesz, to ci wyliczę cały rejestr twoich grzechów. Lecz nie traćmy czasu. Szkoda każdej minuty! Powiedziałem wam otwarcie, w jakim celu przyszedłem do was. — Więc otwartość za otwartość."

Alfred Robber zbliżył się do doktora Morizano, wziął go za ramię i pociągnął na stronę.

„Na Boga," szepnął, „nie stawiajcie oporu temu detektywowi. Poco go drażnicie. Ten człowiek jest potężny; może nam szkodzić. Rozważcie to doktorze Morizano!"

Morizano podał po chwili rękę markizowi Satanelli.

„Markizie," zawołał, „teraz rozumiem. Mówmy otwarcie ze sobą. Usłużę wam z całego serca! Rozchodzi się o warjata? Mam to rozumieć w całem tego słowa znaczeniu? Czy pański pacjent stracił rzeczywiście zmysły?"

„Tak jest!" odparł Satanelli. „Zobaczymy co pokaże przyszłość! Zresztą niech się pan przekona! Proszę kazać przynieść mój kufer! Zostawiłem go w sieni."

„Pański kufer?" zapytał zdziwiony Morizano. „Nie rozumię tego."

Doktor Morizano dał znak swojemu spólnikowi. Alfred Robber wyszedł z pokoju.

Po chwili dały się słyszeć ciężkie kroki przed pokojem, w którym siedzieli Edwin Lister i doktor Morizano.

Drzwi otworzyły się, a obydwaj Pifferonowie pod nadzorem Robbera wnieśli duży kufer do pokoju i postawili go przed Markizem Satanelli.

„Patrzcie!" zawołał detektyw, „starzy znajomi z Paryża! Widocznie było wam za gorąco w Paryżu?"

Stary Pifferon nie wierzył wprost własnym oczom, gdy zobaczył nagle markiza Satanelli.

„Wszyscy święci chwalcie Pana Boga!" zawołał, żegnając się pobożnie. „To pan markiz Satanelli, czy też jego duch? Do djabła, pan byłeś tym jasnowłosym dzierżawcą, którego wpuściłem osobiście do zakładu."

„Tak jest, mój przyjacielu!" odparł Satanelli. „Sami otworzyliście mi drzwi i wpuściliście do środka. Bądźcie ostrożniejsi w przyszłości, inaczej wpuścicie jeszcze jakiego przebiegłego detektywa, który przeszuka cały zakład doktora Morizano."

Pifferonowie oddalili się, wstrząsając głowami. Byli ciekawi, jaki interes sprowadził Edwina Listera do doktora Morizano.



Zachody słońca na wsi mają jakiś swoisty urok, a zwłaszcza w polu. Cała przyroda zapada jakby w półsen i otula się ciszą. Jedynie nawoływania pasterek, spędzających trzody z pastwisk, przerywają ten przedwieczorny spokój i mącą sielsko - anielski nastrój chwili.

„Teraz zobaczycie mojego pacjenta," zawołał markiz Satanelli; zbliżył się do kufra i otworzył go małym kluczykiem. „Patrzcie, jak wygląda człowiek, który dostaje codziennie dziesięć kropli chloroformu!"

W kufrze leżał elegancko ubrany mężczyzna; jego twarz okryła się szarawą barwą. Szklane oczy były podobne do wzroku trupa, albo umierającego. Z ust toczyła się ślina, a skrzyżowane ręce leżały na piersi. Pomimo tej zbrodni, oblicze nieszczęśliwego tchnęło szlachetnością i pięknością.

Doktor Morizano zbliżył się do kufra; Alfred Robber stanął obok niego. Obydwaj spojrzeli badawczo na mężczyznę w kufrze. Nagle odskoczyli z przerażeniem i zawołali prawie jednogłośnie:

„Hrabia Zygmunt Sokolski!"

„Tak jest, moi drodzy!" zawołał zimno Satanelli, „wiedziałem, że go rozpoznacie. Ten hrabia był zawsze waszym nieprzyjacielem. Ciebie, Alfredzie Robberze, wypędził z domu z pistoletem w ręce! Doktor Morizano poznał także jego rękę!

„Macie do zawdzięczenia tylko temu hrabiemu, że niemieckie władze zwróciły na was swoje baczne oko. Jestem przekonany, że nie wypuścicie tego człowieka z waszego zakładu."

„Cieszę się mocno," odparł Morizano, „że dostałem wreszcie w swoje ręce hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Słusznie powiedzieliście markizie Satanelli, że ten człowiek wyrządził mi dużą szkodę. Haha, mówiłem zawsze: co ma wisieć, to nie utonie; trzeba tylko cierpliwie czekać."

„A ja", — zawołał uradowany bandyta, „nienawidzę go także, chociaż wyłudziłem od niego piękną sumę. Lecz nie mogę zapomnieć o kilku sprawach tego dumnego arystokraty. Wydarł mi ukochaną dziewczynę, — zdemaskował mnie jako zbrodniarza i wypędził ze swego domu. Nie zapomnę nigdy tego. Dlatego, jak długo będę w tym zakładzie, hrabia Zygmunt Sokolski nie wyjdzie na wolność."

„Doktorze Morizano weźmie pan tego pacjenta w swoją opiekę? zapytał detektyw.

Morizano zamyślił się głęboko.

„Proszę o stanowczą odpowiedź," przemówił. „Zadam panu kilka pytań. Hrabia cierpi na pomieszanie zmysłów?"

„Nie!" odparł Satanelli; „od 24 godzin znajduje się w nienaturalnym stanie, spotęgowanym brakiem powietrza w kufrze. Na okręcie wziąłem kufer do kabiny i od czasu do czasu wpuszczałem świeże powietrze! Inaczej byłby mi się udusił. O warjactwie niema mowy! Zbudziwszy się z uśpienia, odzyskał zaraz całą świadomość.

„Obchodźcie się z nim jak z warjatem. Zamknijcie go do celi i wmawiajcie w niego, że stracił zmysły. Powiedzcie mu, że Elza Rodeń zakochała się w innym i w ten sposób uwolniła się od niewygodnego hrabiego."

„Do wszystkich djabłów!" zawołał wesoło Alfred Robber, „ucieszy się, gdy mu to powiemy! Lecz pytanie, czy uwierzy? Zanadto jest przekonany o wierności Elzy Rodeń. Znam ich stosunek i wiem, że trzymają ze sobą jak smoła ze siarką."

„To nas nic nie obchodzi, czy nam uwierzy, czy nie," zawołał Morizano. „Zresztą nie macie nic przeciwko temu, gdyby umysł hrabiego nagle się zmienił, — to jest gdyby rzeczywiście stracił rozum?"

„Nie!" odparł Satanelli, „nie mam nic przeciwko temu. Warjat nie jest tak niebezpieczny, jak zdrowy człowiek. Stawiam tylko jeden warunek, który musicie mi zaprzysiąc:

„Hrabia Zygmunt Sokolski nie powinien umrzeć! Nie wolno wam go zamordować! Nie uprzedzajmy natury, pozostawmy jej wolny bieg. Przyrzekacie mi to? Przysięgacie?"

Ciąg dalszy na stronie 499.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

WIATR

Złośliwy wiatr do sadu wpadł,
pomiędzy stare grusze,
z gałązek strząsnął śnieżny kwiat
i raźno dalej ruszył.

I pędził hen i płoszył sen
puchem pokrytych wiśni,
wplótł się w gałązek wiotkich tren,
by sen najsłodszy wyśnić.

Nim nastał świt, wiatr ciszy syt,
na nowo się rozdzwonił.
Wpadł w ciszę jakby słaby zgrzyt
i schował się w jabłoni.

Złośliwy wiatr, przeleciał sad,
Potrącił wszystkie drzewa,
a teraz znów na pole wpadł,
srebrzyście w zbożach śpiewa.

Jadźka z Kujaw.

KTO PODA SERDECZNIE DŁOŃ?

„Zapomniana Sylena". Oczywiście! Wizyta Pani w redakcji będzie bardzo mile widziana. Zapraszamy jak najserdeczniej!

List Pani oddaję do druku z nadzieją, że ktoś się bliżej zainteresuje Panią i prześle Pani kilka słów pocieszenia:

„...I złoci się znowu żytni łan, a skowronek dzwoni nieustannie, gdzieś w górze. W oddali szemrze strumyk raz radośnie, drugi raz znowu smutnie. Patrzę i słucham! I tyle wspomnień wkrada się znowu do mej duszy. Gonię za chwilami najwcześniejszej młodości i przykro mi ogromnie, że idę tak samotna wśród życiowej wichury, bez iskry wiary w przyszłość. Może ktoś z Drogich Sympatyków wyrwie mnie z zwątpienia i poda mi serdecznie dłoń?

Zasyłam pozdrowienia „Tuberozie", która to jedna pomyślała o mnie. Może napiszesz do mnie. Kochanie? Będę Ci bardzo wdzięczna!

Pozatem pozdrawiam mego sąsiada o miedzę „Kazika z Trzemeszna". Czy mogę spodziewać się od Pana jakichś wiadomości?

„Genjuszu", czy mogę liczyć na receptę, skoro uchodzisz za lekarza ludzkich smutków i przykrości?

Dla „Kaszuba" łączę słowa pocieszenia, chociaż... sama jestem smutna.

„Bursztynowe Serduszko" proszę o skreślenie kilku wrażeń z nad morza.

„Wesołemu Kozakowi" ślę moc pozdrowień. Do „Jadźki z Kujaw" i „Białej Ujali" autorek ślicznych wierszyków, wnoszę gorący apel, aby zechciały poświęcić mi kiedyś swój utworek."

„JESZCZE RAZ PROSZĘ O LIŚCIK"...

„Boginka" nadesłała mi ostatnio przemiły liścik, w którym nie braknie nawet poetycznych uniesień i zachwytów nad pięknem i pogodą lata. „Cudnie jest na świecie — pisze — i to powinno wystarczyć, a jednak brak mi czegoś, coby mnie w zupełności uszczęśliwiło. Brak mi kochanego i oddanego serduszka, któreby biło w takt mojego.

Dotychczasowa korespondencja nie przyniosła mi zadowolenia, jeszcze więc raz proszę o liściki. Może napisze do mnie: „Uśmiech lata", „Czarnulka z Grudziądza" — „Marzenie z Tczewa" albo „Bajka"? Czy zgoda, Kochane „Siostrzyczki"? Dajcie mi jakiś znak, chociaż za pośrednictwem „Krainy". Przesyłam także pozdrowienia dla: „Te-Em" — „Erosa" — „Tam-Ryszarda" i „Lotnika z Pomorza". „Puerowi" dziękuję za list i odwzajemniam się za niego pozdrowieniami. Dlaczego „Irek" się nie odzywa?

Kochana „Boginko", zanim zakończę odpowiedź przesyłam Ci jeszcze kilka słów: w pierwszym rzędzie dziękuję Ci za dobroć, której tyle znalazłam dla siebie w Twoim liściku i przesyłam Ci jak najlepsze życzenia pomyślnego nawiązania korespondencji. Chciałabym, abyś „Boginko", była naprawdę zadowoloną! Pa!

„JEDNAKOWA DOLA NACECHUJE NASZĄ KORESPONDENCJĘ WZAJEMNEM ZROZUMIENIEM

„Szatynka z Pomorza". Nadesłane wiersze są piękne, cudowne, tylko, niestety, nie są utworami Pani. Nie rozumiem, jak mogła je Pani podpisać swoim pseudonimem, skoro tylę razy występowałam przeciw plagjatom i zawsze napiętnowałam tych, którzy odważyli się sięgnąć po czyjś dorobek literacki? Postępkiem swym sprawiła mi Pani wielką przykrość i podkopała zupełnie zaufanie, jakiem się u mnie dotychczas cieszyła. Oto moja odpowiedź w sprawie wierszy, resztę załatwi list Pani, który niżej częściowo przedrukowuję:

„Przesyłam pozdrowienia „Smutnemu Edkowi". Jestem tak samo smutna i opuszczona jak Pan, więc może skomunikuję się Pan ze mną. Przykra jednakowa dola nacechuje naszą korespondencję zrozumieniem się i wzajemnem współczuciem. Czekam zatem na pierwszy znak od Pana".

DLACZEGO?

„Blondynek z Pałuk". Pozdrowienia odebrałam — ślicznie za nie dziękuję. Dlaczego liścik taki krótki? Proszę, niech się Pan w przyszłości poprawi.

Dopisek Pana oddaję do przedruku:

„Bardzo dziękuję „Erosowi" za pozdrowienia, które równocześnie odwzajemniam.

Specjalne pozdrowienia załączam dla „Dziewczęcia z Kujaw" — „Bursztynowego Serduszka" — „Tamary" — „Wiery" i „Dziewczęcia z Pomorza". Pragnę szczerze, aby któraś z wymienionych Pań skreśliła do mnie kilka słów. Odpowiedź murowana!"

PRZYKRO MI BARDZO...

„Bajka". Komunikaty Pani są już dzisiaj nieaktualne, więc ich nie zamieszczam. Przykro mi bardzo, że zrobiłam Pani zawód, ale zawiniła tu moja metoda — odpowiadania na listy kolejno. Zapóźno wzięłam Pani arkusik do rąk. Bardzo przepraszam! I... mam cichą nadzieję, że nie będzie miała Pani do mnie urazy za ten zawód?

Pozdrowienia zamieszczam:

Miłe pozdrowienia, przesłane mi przez: „Złotowłosą Haluś" — „Sikoreczkę" — „Nikę" — „Basię" i „Carmenitę" — odwzajemniam również serdecznemi pozdrowieniami.

„Nimfo II." — Czy odebrałaś ode mnie list? Ślę Ci promienny uśmiech!

„Stelli Maris" i „Miłej Zapałeczce" przesyłam uściski. Odwzajemniam także pozdrowieniami „Jerzemu" i „Waldemu", któremu życzę serdecznie zdobycia dyplomu".

PROSZĘ O PODANIE OBECNEGO ADRESU

„Heniek". List wysłany do Poznania wrócił wobec tego proszę Pana o podanie obecnego adresu.

FOTOGRAFJA SPRAWI MI RADOŚĆ

„Tajemnicza Brunetka". W liście Pani znalazłam dla siebie tyle komplimentów, że o mało a porosłabym w piórka. Na szczęście zdałam sobie jeszcze w porę sprawę z tego, że nie jestem ani bardzo słodka, ani śliczna, ani cudna, tylko... obiecuję zresztą zamieścić kiedyś swoją fotografję dlatego nie dokończę.

Najserdeczniej Panią pozdrawiam, a także nie zapominam w imieniu Pani pozdrowić: „Smutną Indjankę" — „Maleńką Tajemnicę" — Jadźkę z Kujaw" — „Bajkę" — „Fleur" — „Anankę" i „Ideał Romantyka".

„I jeszcze jedno: Fotografja Twoja, „Tajemnicza Brunetko", sprawi mi wielką radość, dlatego przyślij mi ją śmiało.

STRZYBNICĘ ZNAM BARDZO DOBRZE"...

„Lusia — Szczebiotka". Zapewnie ucieszy Panią wiadomość, że w redakcji znajduje się list dla Pani? Wyślę go Pani natychmiast po otrzymaniu dokładnego adresu, o podanie którego bardzo proszę.

Niezwykle miło opisała Pani urok swej rodzinnej wioski i również miło scharakteryzowała swoje uczucia, wywołane pięknem przyrody. Ucieszę się, jeżeli częściej otrzymam od Pani taki radosny, pogodny liścik.

A teraz, zgodnie z poleceniem, pozdrawiam w imieniu Pani „Strzybniczankę" i przesyłam jej kilka słów Pani:

„Strzybnicę znam bardzo dobrze, dlatego chętnie pogawędzę listownie z „Strzybniczanką". Ciekawa jestem, co słychać obecnie w tem miasteczku".

I jeszcze coś od Pani:

„Przesyłam dużo pozdrowień „Adisowi" i „Pustelnikowi z zaklętego ogrodu" z prośbą o listy. Odpowiedź dam szybko!"

„ODPOWIEM NA KAŻDY LIST!"

„Nelli". Nareszcie przyszła kolej na liścik Pani. Nie znamy się jeszcze dobrze, a już podchodzimy do siebie z ufnością. To dobry znak! Wierzę, że przyjaźń nasza nawiąże się jak najpomyślniej. Ma Pani malutkie życzenie, mianowicie móc nawiązać skimś korespondencję. Pragnę bardzo przyczynić się do spełnienia tego życzenia, dlatego zamieszczam część Pani listu. Czy pośrednictwo moje będzie szczęśliwe — okaże najbliższa przyszłość.

„Jestem mieszkanką dużego miasta, w którym wre życie, jednakże nie daje mi ono zadowolenia. Tęsknię za wsią. Ukochaniem mojem to lasy, ogromne pola i nasza świętość — — Bałtyk, nad brzegami którego spędzam co roku najmilsze dni. Woda i słońce to mój żywioł.

Chciałabym nawiązać korespondencję z szczerym Panem, godnym zaufania. Skimś, który wniósłby w me smutkiem owiane życie trochę słońca i radości.

Czy znajdzie się ktoś taki wśród Sympatyków i napisze do mnie? Odpowiem na każdy list".

CZY DOWIEM SIĘ?

„Uśmiech Poranku". Dziękuję za widokówkę. List zaraz wysłałam i ciekawa jestem jakie na Pani zrobił wrażenie. Chyba się dowiem?

SPODZIEWAM SIĘ

„Krater II." Nie przypominam sobie Pańskiej wizyty. „Wrażenia" pochlebiły mi bardzo. Cieszę się, że właśnie takie, a nie inne zrobiłam na Panu wrażenie. Spodziewam się, że następnym razem porozmawiamy trochę bliżej i więcej? Proszę się o to postarać!

„MOŻE NAPISZESZ DO MNIE?"

„Daletta" przesyła pozdrowienia „Czarnobrewej Idze" — „Białej Ujali" — „Czarnemu Saturnowi" i „Samotnemu Lisowi" oraz kilka słów p. Maryli Wawrzyńczakównie:

„Hallo! Marylo W... Może napiszesz do mnie? Zdaje mi się, żeśmy uczęszczały do jednej szkoły w Jarocinie?"

KORESPONDENCJA NA TEMATY BARDZO POWAŻNE

„Człowiek z ludu". W liście swym poruszył Pan wiele ważnych problemów, na temat których chętnie bym z Panem podyskutowała, gdyby nie brak miejsca w „Krainie". Odłożę to więc na później, a narazie apeluję w imieniu Pana do tych Sympatyków, którzy interesują się wszelkiemi zagadnieniami społecznemi, aby nawiązali z Panem korespondencję. Pozatem przesyłam załączone przez Pana pozdrowienia — „Bajce" i „Tereni z pod Wrześni".

A MOŻE?...

„Nie — biedna“. Miło mi bardzo, że nawiązana za mojem pośrednictwem korespondencja, wniosła w życie Pani tyle urozmaicenia. „Wiję nić złotej przędzy“ — pisze Pani poetycznie. A może wysnuje Pani z tej złotej przędzy jakąś czarowną nić, która powiąże wszystkie dni życia Pani w jedno wielkie szczęście?... Ot i ja się rozpoetyzowałam, ale to pod wpływem słów Pani listu. Pomiędzy jego wierszami ło do wypowiedzenia powyższego zdania.
ło do wypowiedzenia powyższego zdania.

Kończąc, serdecznie Panią pozdrawiam i zamieszczam dopisek z listu Pani:

„Dziękuję tym wszystkim, którzy nadesłali mi liściki. Zapewniam, że każdy z nich otrzyma odpowiedź listowną, z wyjątkiem tych, którzy proszą o skierowanie listów na poste — restante. Dlaczego, Drodzy Sympatycy, nie macie odwagi podać w liście bezpośredniego adresu? Uważam, że takie tajemnice są zbyteczne. Łączę dla wszystkich milutkie pozdrowienia“.

CZY ZGADZASZ SIĘ?

„Merle“. Na zapoczątkowanie naszej przyjaźni podaję Ci, Sympatyczna Dziewczynko, swoją dłoń. Pragnę gorąco, aby listy Twoje odwiedzały mnie jak najczęściej. Pisz mi o wszystkiem: o swoich marzeniach, zapatrywaniach, spostrzeżeniach, o swoich smutkach i radościach. Czy będzie tak, „Merle“? Czy zgadzasz się na to?

Przesyłam Ci wiele pozdrowień i na zakończenie oddaję głos:

„Jestem wysoką brunetką o ciemnych oczach. Lubię wszystko, co dobre, ładne i szlachetne. Nadewszystko lubię muzykę hawajskich gitar. Mieszkam w większej wiosce na Pomorzu. Nie lubię być smutną i nie przejmuję się zbytnio przykrościami. Zawsze potrafię je jakoś złagodzić.

Tak chętnie chciałabym korespondować z jakimś miłym sympatykiem, podobnym zapatrywaniami do mnie. Przesyłam pozdrowienia dla „Roztańczonej — rozśpiewanej Pomorzanki“ — „Czarnobrewki“ — „Jaśka — Pokutnika“, którego zdaje się znam, „Indjanina“ — „Dysonansa“ i „Jesiona“. Może który z wymienionych Panów napisze do mnie?“

MYLISZ SIĘ...

„Czarnulka z Grudziądza“. Rozumiem zupełnie Droga Dziewczynko, Twój smutek i osamotnienie i żałuję Cię bardzo, że straciłaś już matusię. Jeżeli będę Ci mogła choć w części zastąpić tę drogą istotę — pisz do mnie i zawsze śmiało się zwracaj w wszelkich wątpliwościach o radę. Piszesz, że brak na świecie ludzi, którzy potrafiliby Cię zrozumieć i być Ci życzliwymi. Mylisz się, Kochanie! Ja pierwsza podaję Ci przyjaźnie dłoń i pewna jestem, że pójdzie więcej za moim przykładem. Zobaczysz! Bądź tylko zawsze pełna wiary w ludzi, bo nie wszyscy są wilkami w owczych skórach, jest także dużo ludzi dobrych i godnych zaufania. Zdaje się, że wydałaś o ludziach sąd zbyt ogólny, uciesz się więc, gdy go kiedyś zmienisz.

Część listu, przeznaczoną dla Sympatyków, zamieszczam:

„Romantyku — Marzycielu“ i „Sokole z Mazowsza“ przesyłam Wam sokole — Czołem! Należę również do „Sokoła“.

„Te-Em i p. M. B. z Warszawy — napiszcie do mnie pierwsi, a chętnie odpowiem.

Ucieszę się bardzo, gdy napisze do mnie „Marzyciel z Czerniejewa“ — „Wilk Morski“ — „Dziewczę Stepów“ — „Geniek“ — „Śledź Pomorski“ — „Samotny Rom“ — „Sztubak“ lub „Niebieskooki handlowiec“.

Bardzo miłe pozdrowienia ślę: „Więdnącemu Kwiatkowi“ — „Uśmiechowi Poranku“ — „Samotnej Dzidzi“ i „Szatynce z Czerniejewa“.

DZIĘKUJĘ!

„Dzinka“. Uściski odebrałam — dziękuję! Rewanżuję się miłemi pozdrowieniami. Na list dawałam już Pani odpowiedź — chyba ją Pani czytała? Czy może mi Pani zdradzić dokąd wyjeżdżała na „pewien czas“. Ogromnie tajemniczo mi Pani o tem napisała i może dlatego zapłonęłam ciekawością, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

KTO WIE...

„Tancerz“. Tajemniczość ma swój urok, wiem o tem dobrze i dlatego pilnie strzegę swego incognito. Zresztą wolę, aby każdy wyobrażał mnie sobie tak, jak woli. Kto wie, czy po zdemaskowaniu nie sprawiłabym niejednym rozczarowania i nie zawiodła ich w najlepszych wyobrażeniach o mnie. Niech Ci więc wystarczy, „Tancerzu“, to, że będę nadal tajemniczą i nieznaną. Tak będzie najlepiej!

Dopisek zamieszczam:

„Hallo! hallo! Czy znajdę wśród Was, Drogie Czytelniczki, jakąś bratnią duszę? Zapatrywania moje są szczere i otwarte. W życiu powodzi mi się dobrze, nie brakuje mi niczego, jedynie kogoś bliskiego, swojego. Czy znajdę w „Krainie“ tego „kogoś“?

Odwzajemniam pozdrowienia „Zosinie“ — „Czarnobrewej“ — „Jadwini“ — „Wandzi z B.“ i „Dzikiej Cygance“. Hallo! „Elu“! listu żadnego nie otrzymałam, nic więc dziwnego, że milczę“.

CZĘSTO...

„Pieszczotka“. Nie zapomniałam o Tobie, Droga „Pieszczotko“, w dużej mierze dlatego, że jesteś jedną z najwierniejszych sympatyczek „Krainy“. Nie pisałaś do mnie długo, jednakże nieraz myślałam o Tobie. Często biorę do ręki stare roczniki „Moich Powieści“ i przeglądam je. I wtedy zwykle wspominam tych, którzy przesunęli się przez „Krainę“ i odeszli, a najdłużej zatrzymuję się przy odpowiedziach przeznaczonych dla moich najwierniejszych przyjaciół, do których i Ty, „Pieszczotko“ się zaliczasz. Dziękuję Ci serdecznie i za życzenia i za pozdrowienia i proszę Cię o częstszą pamięć. Napisz znowu wkrótce — czekam!

Nie mogę Ci powiedzieć, Kochana Dziewczynko, co się stało z „Słoneczkiem“, gdyż panienka ta już dawno nie dała o sobie znaku życia. Miejmy jednak nadzieję, że może przeczyta te słowa i odezwie się.

„Małej Konwalijce“ — „Manoli“ — „Akri“ i „Złotemu Jabłku“, przesyłam w Twojem imieniu, „Pieszczotko“, pozdrowienia i ściskam Cię serdecznie!

CHCIAŁABYM

„Zrozpaczona Maryla“. Na listy, przesyłane do „Krainy“, daję odpowiedzi kolejno, a więc dopiero dzisiaj ślę Pani kilka słów.

W pierwszym rzędzie dziękuję jak najserdeczniej za piękne życzenia. Byłam głęboko wzruszona po ich odczytaniu. Musi Pani posiadać złote serduszko, że tak potrafi prosto i serdecznie przemawiać.

Chciałabym kiedyś z Panią pomówić i osobiście podziękować Pani za wszystkie dobre słowa i dowody pamięci. W redakcji może mnie Pani zastać codziennie między 9 — 1 i 3 — 6-tą godziną. Najlepiej jednakże będzie, gdy mnie Pani uprzedzi o swojej wizycie, abym była napewno w redakcji.

Żegnam Panią szczerym uściskiem dłoni i pozdrawiam na zakończenie w imieniu Pani: „Erosa“ — „Incundi agricolae“ — „Samotnego Agronoma“. P. Władkowi Sacholskiemu ślę uścisk dłoni.

(Wierszyk, proszę, niech Pani najlepiej prześle osobiście p. W. S.)

DLACZEGO?

„Dziewucha“. Dlaczego jest tyle smutnych ludzi w naszej „Rodzince“? — pyta Pani. Dlaczego — nie trudno się domyśleć. Już sama nazwa — „Kraina szczerości i naszych trosk“ — wskazuje, że piszą do niej ci, którym smutno, których gnębią troski i zmartwienia. I dlatego właśnie, Miła Dziewczynko, jest tyle smutnych ludzi w naszej „Rodzince“.

List wysłałam podług podanego przez Panią adresu, gdyż innego nie posiadam. Do „Krainy“ przyjmuję Panią i proszę o częstą pamięć o nas.

NAPISZ MI O WSZYSTKIEM!

„Leniuszek“. Dziękuję Ci, Kochanie, za fotografję, również za życzenia.

Czy czujesz się już zupełnie zdrowa i czy urządzasz jeszcze stale wycieczki na swym stalowym rumaku? Napisz mi o wszystkiem! Pa, „Leniuszku“!

CIESZĘ SIĘ!

P. H. K. Toruń. Najdroższa! Nie uwierzysz, jak się cieszę, że zwracasz się do mnie, jak do kogoś bliskiego i godnego wielkiego zaufania. Lubię bardzo, gdy ktoś do mnie w ten sposób podchodzi, gdy ktoś jest mi przyjacielem i uważa mnie również za przyjaciela.

Przeczytałam list Twój, Helu, bardzo uważnie. Treść jego wryła się głęboko w moją duszę. Cóż mogę Ci powiedzieć? Chyba to, abyś zawsze pozostała taką jaką jesteś i nie sprzeniewierzała się swoim zdrowym zasadom, a przedewszystkiem nie wyzbywała się swojej cudnej nadziei. Wierz! Wierz w życie, w ludzi i w siebie. Z swoją cudowną wiarę i nadziejami idź w przyszłość!... Czy będzie tak, Helu?

Napisz do mnie znowu i przyjm moc pozdrowień. Dużo przyjemności podczas wakacji!

Wierszyk „Gdzie jesteś“ schowałam sobie na pamiątkę. Przyrzekam wydrukować następny.

POZDROWIENIA

„Ryś“. Życzenie spełniłam. Za pozdrowienia dziękuję. Załączone dla „Czytelniczki z Poznańskiego“ — przekazuję!

ZA ŻYCZENIA — DZIĘKUJĘ!

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy“. Dzisiaj dziękuję Ci, Miły „Łobuzie“, za list z życzeniami. Oby się sprawdziły! Wzamian życzę Ci, Kochanie, również wszystkiego najlepszego. Pa!

DZIĘKUJĘ ZA MIŁY LIST

„Piekiełko“. List Pani sprawił na mnie bardzo miłe wrażenie. Dziękuję za niego i przesyłam z polecenia Pani pozdrowienia „Artylerzyście“ i p. Edwardowi M., kapralowi z kompanji telegraficznej z Gniezna.

PROSZĘ O ADRES

„Morowa Sztubaczka“ otrzymała kilka listów. Proszę jak najuprzejmiej o nadesłanie dokładnego obecnego adresu.

ODWZAJEMNIENIE POZDROWIEŃ

„Ben Ali“ pozdrawia serdecznie „Tęsknotę“ i odwzajemnia pozdrowienia „Zosinie“ — „M-Rysi“ i „Czarnulce z Świecia“.

POZDROWIENIE Z POLSKICH GÓR

„Lawrence“ przesyła wszystkim Sympatykom „Krainy“ moc pozdrowień z Zakopanego — z pięknych, polskich gór.

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Wesoła Ślązaczka“ — „Szczery Gladiator“ — „Alocha“ — „Wesoły Łobuz z Warszawy“ — „Dziewczę z Pomorza“ — „Ogrodniczka“ — „Nieszczęśliwa“ — „Czarny Saturn“ — „Bezinteresowny“ — „Smyk“ — „Sybilla“ — „Będący w nadziei“ — „Iula“ i „Baśka“ — „Smutna Różyczka“ — „Rybak z nad Drwęcy“ — „Porporato“ — „Daletta“ — „Tajemnicza Księżniczka“ — „Heniek“ — „Dziedziczka z Kopytkowa“ i p. Hieronim Z.

Teczka Wujka Janusza

W WIERSZACH BRAK RYTMU

„Anicel“. Wiersze miłe i miejscami bardzo ładne. Brak w nich tylko, rytmu. Musi Pan jeszcze nad sobą popracować. I dużo czytać. Radzę Kasprowicza, Słowackiego, Leśmiana, Tuwima, Tetmajera i Zbierchowskiego — autora przemiłych, pełnych prostoty wierszy. Łączę wyrazy sympatji.

NIE ROZUMIEM

„Ata“. „Tajemnicę“ powierzyłem koszowi. Nie rozumiem, jak mogła Pani dać swojej nowelce taki tytuł, skoro brak zupełnie w niej „tajemniczości“? Serdecznie pozdrawiam.

DO DRUKU SIĘ NIE NADAJE

P. L. S. Otwock. Słabe w ujęciu i za lekkie. Do druku się nie nadaje. Pozdrawiam i dziękuję za pozdrowienia.

Raj kobiet

PORADY PRAKTYCZNE

Co zrobić z skorupkami od jaj?

Należy skorupy z jaj przechowywać stale w gospodarstwach domowych, gdyż skorupy te mogą się przydać w wielu wypadkach.

Skorupy z jaj są w 90 proc. z wapnia i mogą być użyte do czyszczenia, czego nie docenia się w gospodarstwach domowych. Gdy przy praniu bielizny dodamy na 1 kocioł jedną do dwóch skorup z jaj, to bielizna uzyska ładny biały kolor, bez szkody jakiejkolwiek dla materjału.

Jeśli skorupy z jaj rozdrobnimy i zmieszamy z pokrajanemi na drobno surowemi kartoflami, to uzyskamy doskonały środek do czyszczenia butelek i słoików zatłuszczonych.

Przez wrzucenie skorup z jaj do wody i przetrzymanie przez dłuższy czas, uzyskamy dobry środek nawozowy do podlewania kwiatów. Nawet bez wody lecz sproszkowane skorupy z jaj są dobrym nawozem.

Skorupy palone i zmielone następnie na proszek zmieszane z białkiem i niegaszonem wapnem dają pierwszorzędnej jakości kit do porcelany.

Osobom cierpiącym na psucie się zębów lekarze polecają dostarczenie organizmowi — wapnia w najprostszej formie — skorupkach z jaj. W tym celu skorupki miele się na proszek i sproszkowane miesza z solą w solniczce stołowej. Dosalając do smaku potrawę, dana osoba otrzymuje dozę wapnia, którego brak powoduje psucie zębów.

Wywabianie rozmaitych plam z tkanin kolorowych

Jeśli tkaniny ciemno - czerwone, orzechowe lub niebieskie, z wełny lub jedwabiu, zostaną oblane kwasem, wtedy powstają zawsze czerwone plamy. W takim razie użyć środków zobojętniających kwasy przez co właściwa barwa znowu wystąpi. Do tego najlepiej się nadaje spirytus amonjakalny, rozcieńczony z 3 lub 4 częściami wody. Dostatecznem będzie zwilżać tym płynem plamę zapomocą gąbki, dopóki plama nie zniknie, a potem tkaninę wysuszyć.

Jeśli kwasem splamione zostały brunatne lub czarne tkaniny, wówczas trzeba najprzód zobojętnić kwas spirytusem amonjakalnym, a potem jeśli kolor tkaniny był brunatny, użyć roztworu koperwasu, a jeśli czarny, odwaru gallasu i tą cieczą zwilżać miejsca splamione, dopóki pierwotny kolor nie powróci.

Jeśli uległy zniszczeniu błękitne barwy, należy im przywrócić pierwotny kolor zapomocą indygo rozpuszczonego w kwasie siarczanym i rozcieńczonego wodą.

Plamy od olejku lub soku tytoniowego dają się wywabić zapomocą żółtka z jaja i spirytusu mydlanego potem zaś jeszcze wymyć wódką.

Zmywanie naczyń bez używania ścierek

Jak wiele udogodnień z dziedziny gosp. domowego, tak i zmywanie naczyń bez używania ścierek pochodzi z Ameryki. Wycieranie talerzy niezawsze czystą ścierką i mycie ich w wodzie, w której pływają resztki potraw i skrzepły tłuszcz — powinny raz wreszcie należeć do przeszłości.

Jeśli chodzi o rondle i garnki kuchenne, to już dawno co roztropniejsze kucharki po wyszorowaniu ich nie wycierają ich już ścierką, lecz tylko przewracają na gorącą blachę, gdzie same obsychają. Jednak i tutaj można zastosować pewne ulepszenia.

Gdy posmarujemy lekko tłuszczem dno garnka mającego iść wprost na ogień, to chociaż ilość kopcin będzie na nim równie duża, jednak sadze dużo łatwiej odstaną. Mówię tu o gotowaniu na węglu lub drzewie, bo przy gotowaniu na gazie, garnki nie kopcą się wcale. Po ukończeniu gotowania rondel lub garnek należy opróżnić z resztek, dopiero wtedy go zmywać. Gdyby na ściankach był tłuszcz zastygły, usunąć go należy drewnianą szczotką lub metalową gąbką. Takie przygotowanie zaoszczędzi dużo gorącej wody i garnek będzie zmywany w wodzie, a nie sosie, jak się dotąd praktykuje.

Przy rondlach aluminjowych nie należy do ich mycia używać sody, ani bielidła, — trochę mydła i szczotka lub zmywak wystarczą zupełnie. Po umyciu postawić garnki na blasze, nieco na ukos, aby powietrze miało dostęp pod spód garnka — same doskonale wyschną.

Patelni, żelazek do wafli i andrutów nie należy nigdy myć. Po użyciu wyciera się je najpierw wewnątrz, potem zewnątrz papierem do sucha. Przed użyciem, o ile patelnia idzie wprost na ogień, dno jej lekko posmarować tłuszczem, co ułatwi odczyszczenie sadzy. Na blasze wywołałoby to nieznośny swąd, na gazie jest to oczywiście zbyteczne. Gdyby wtarcie papierem nie wystarczyło do odczyszczenia patelni, należy nasypać na nią łyżkę soli, podprażyć ją i tą gorącą solą wyczyścić patelnię na sucho.

Do mycia fajansu, porcelany i szkła należy się zaopatrzyć w parę przyrządów. Przedewszystkiem stół w którym zmywamy naczynia, powinien byż możliwie niski, ażeby móc przy nim siedzieć, a nie stać. Nawet kto chce tę robotę wykonywać stojąc, mniej się zmęczy, nie podnosząc rąk przy każdym poszczególnym ruchu. Przed sobą należy mieć dwa naczynia, jedno z ciepłą wodą do zmywania, drugie z bardzo gorącą do ich spłókania i podstawę drucianą, metalową lub drewnianą, do ich suszenia.

To i owo dla panów

Podajemy dzisiaj kilka sekretów z dziedziny mody męskiej, chociaż w dziale przeznaczonym wyłącznie dla Pań. Mamy nadzieję, że Panie wybaczą nam, że w ich królestwie poświęcamy dzisiaj dość dużo miejsca „płci brzydszej". Temwięcej, że napewno każda z nich posiada tatusia, brata, syna czy narzeczonego, który chętnie przyjmą do wiadomości, że:

...Zarówno frak jak i smoking, są strojami wytwornemi, na które — w dzisiejszych zwłaszcza czasach — nie każdy pozwolić sobie może ze względu na ich znaczną stosunkowo cenę, a małą użyteczność. Oba te bowiem rodzaje ubioru męskiego używane są rzadko, w specjalnych tylko okazjach, a wymagają one również szeregu dodatków, nie mających zastosowania przy innej odzieży. Jeżeli mimo to poświęcić zamierzamy frakowi i smokingowi nieco uwagi, to właśnie spowodu tego ich specjalnego zastosowania.

Kiedy wkładamy frak, a kiedy smoking?

Frak jest strojem o charakterze wysoce uroczystym a zatem stosuje się go tylko w bardzo wyjątkowych momentach. Obowiązuje on przedewszystkiem na wielkich audjencjach u najwyższych dygnitarzy państwowych, na wytwornych bankietach i na balach reprezentacyjnych. Z reguły nie używa się go za dnia, a tylko wieczorem i w nocy. Wyjątek stanowią tylko wyżej wspomniane audjencje. Istnieją cy u nas zwyczaj używania fraka do ślubu, odbywającego się w porze przedpołudniowej, jest niewłaściwy, gdyż w tym wypadku przywdziewa się zawsze żakiet. Wyjątku w tym względzie nie stanowi nawet pan młody.

W zastosowaniu stroju frakowego istnieją pewne odchylenia, w zależności od tego, gdzie frak ma być użyty i przez kogo.

Czarna kamizelka przy fraku obowiązuje na audjencjach, na uroczystościach o charakterze poważnym, jak wielkie reprezentacyjne koncerty, uroczyste widowiska itd. Kamizelki białej używa się do fraka na balach, ślubach, weselach, bankietach wieczornych, wytwornych dancingach towarzyskich i t. d., jeżeli chodzi o mężczyznę w wieku niezbyt podeszłym. Starsi panowie winni i w tych wypadkach używać raczej kamizelki czarnej. Buciki: we wszystkich wypadkach czarne półbuciki lakierki, z wyjątkiem tylko balów i wielkich zabaw tanecznych, gdzie stosowniejsze są specjalne męskie pantofelki lekkie, wygodniejsze do tańca.

Uzupełnieniem stroju frakowego są: biała koszula z grubym, mocno sztywnym gorsem bez zakładek, spiętym sprzodu na dwie spineczki o łebkach jasnych i z mankietami pojedyńczemi sztywnemi, spiętemi również spinkami możliwie jasnemi (najlepiej, jeżeli spinki do mankietów i do gorsu tworzą tak zw. garnitur). Kołnierzyk sztywny pojedyńczy z załamanemi na przodzie końcami. Krawat motylek do wiązania ręcznego, biały jedwabny. Skarpetki czarne z cienkiego jedwabiu. W górnej kieszonce fraka — chusteczka jedwabna, biała lub kremowa, bez wszelkich deseni lub szlaków kolorowych. Rękawiczki białe ze skórki, t. zw. glacé, używane są tylko w orszaku ślubnym; poza tem przestały być modne.

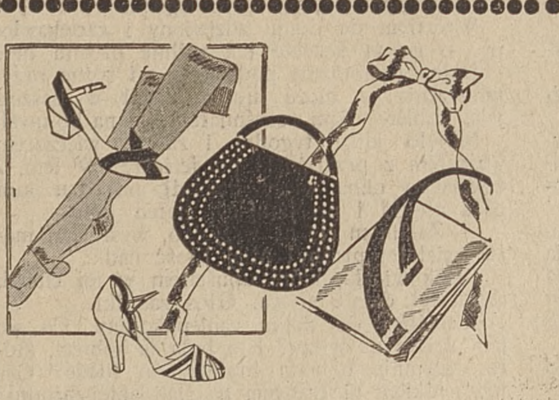
Smoking jest strojem od fraka mniej uroczystym i dlatego stosować go można w wypadkach o wiele liczniejszych. Nie używa się jednak smokinga na audjencjach, na ślubach, weselach, ani na wytwornych balach reprezentacyjnych, a bezwarunkowo nie wkłada się tego stroju za dnia, lecz dopiero w porze późno-południowej i wieczorem. Z powodzeniem da się użyć smoking: na wieczornych koncertach, premjerach teatralnych, na mniejszych balach, na większych zebraniach towarzyskich, także w domach prywatnych, na dancingach, rautach, na wytwornych przyjęciach o charakterze nieuroczystym, w wielkich klubach i kasynach.

Uzupełnienie stroju smokingowego stanowią: kamizelka zawsze czarna, jak u fraka, koszula i kołnierzyk takie same, jak u fraku, lecz z gorsem i mankietami spinanemi na spinki o ciemnych lub nawet czarnych łebkach, krawat jedwabny do wiązania ręcznie obowiązkowo czarny, skarpetki czarne z dowolnym lekkim deseniem w ciemne prążki, półbuciki lakierki czarne. Rękawiczki zupełnie zbędne. Chusteczka w kieszonce — jak przy fraku.

Zrozumiałą jest rzeczą, że ani we fraku, ani w smokingu nie należy ukazywać się na ulicy, choćby to była pora letnia. W orszaku ślubnym, gdzie mężczyźni znajdują się w strojach frakowych, można obejść się bez wierzchniego okrycia tylko o tyle, o ile chodzi o przejście ze świątyni do powozu zamkniętego. Jako okrycia wierzchnie przy stroju frakowym jedynie stosowane są futra i palta czarne, jako zaś nakrycie głowy — czarny melonik, a w orszaku ślubnym cylinder. Przy stroju smokingowym dobrze jest również przestrzegać o ile możności tego szczegółu.

Trzeciem rodzajem uroczystego stroju męskiego jest t. zw. żakiet, naturalnie czarny, podobnie jak i kamizelka. Spodnie natomiast muszą być tu „sztuczkowe", to znaczy szare w ciemniejsze prążki, szersze lub węższe — w zależności od mody. Do żakietu używa się również koszuli białej, lecz z gorsem niesztywnym, zato ze sztywnemi mankietami, kołnierzyka takiego samego jak przy fraku i smokingu, krawata „plastrona" jedwabnego o ciemnych deseniach, skarpetek ciemnych szarych w spokojne prążki półbucików czarnych lakierków i ewentualnie getrów w kolorze szarym lub piaskowym. W kieszonce górnej chusteczka biała ze spokojnym szlaczkiem. W tym stroju można ukazywać się również na ulicy bez wierzchniego okrycia, lecz w takim razie jako nakrycie głowy może być użyty tylko czarny melonik (cylinder tylko w orszaku ślubnym przed południem lub na uroczystem pogrzebie), rękawiczki skórkowe ciemno-brązowe, najlepiej trzymane w ręku i — co jest wyjątkiem — wytworna, ciemna laska z gałką.

Żakietu używa się: na ślubach w porze przedpoł. na wszelkich audjencjach, na bardziej uroczystych zebraniach i posiedzeniach, na pierwszych wizytach lub wogóle wizytach o charakterze urzędowym w teatrze, na koncertach, na bankietach w porze południowej, na wyścigach konnych i wreszcie na uroczystych pogrzebach. Nigdy nie używa się żakietu na zabawach tanecznych.





Najmodniejsze akcesorja mody kobiecej i męskiej! Wybierzmy coś dla siebie na podanem zdjęciu i następnie zakupmy w składzie galanteryjnym...

Zupy owocowe, zimne

Zupa malinowa z poziomkami, czysta. Zagotować litr malin w wodzie, tyleż poziomek na surowo przetrzeć wraz z gotowanemi malinami przez sito. (Poziomek z pestkami nie powinno się gotować, bo zawsze będą cierpkie). Rozpuścić wodę w stosownej ilości ile się chce mieć zupy, wsypać cukru do smaku i zaprawić tak samo, jak zupę borówczaną. Podać na gorąco lub na zimno z grzankami.

Zupa z jagód. Litr czerwonych jagód oczyszczonych i opłókanych zagotować w 1 i pół litrze wody, rozbić dobrze drewnianą łyżką, przecedzić przez sito, wsypać cukru do smaku i zagotować raz jeszcze z łyżką mąki kartoflanej, rozbitej w zimnej wodzie. Można ją podawać na gorąco, lub też, zrobić dzień naprzód i wynieść do piwnicy. Taka zupa bardzo dobrze smakuje w gorące dni na zimno. Podaje się do niej słodkie grzanki.

Zupa z różnych owoców. Można ją robić z różnych owoców i mieszać różne smaki np. jabłka, truskawki, maliny itd. Wszystkie owoce należy opłókać, obrać z łupki i z pestek, wydrążyć, zalać wodą, aby się rozgotowały, potem przefasować przez sito, dodać cukru, rozprowadzić smakiem, w którym się gotowały i zaprawić śmietaną rozbitą z łyżką mąki lub tylko samą mąką z zimną wodą. Może być podana na gorąco lub zimno, stosownie do pory.

Ze świata

Zabawny figiel polskiego krawca

Zabawnego figla z patrjotycznych pobudek splatał byłemu władcy Niemiec Wilhelmowi II polski krawiec, Leszczyński. Pracując w firmie, która robiła mundury dla sztabu, a nawet dla samego cesarza, uszył dla Wilhelma osiem ubrań i w każdem z nich na podszewce umieścił napis: „Jeszcze Polska nie zginęła" albo „Boże zbaw Polskę"! Noszone przez Wilhelma na piersiach słowa sprawdziły się.

Mrówki zjadły człowieka

Wśród poszukiwań kłusowników w lasach rządowych w okolicy Chrudim w Czechosłowacji patrol żandarmów natknął się na konającego młodzieńca. Podnosząc go, żandarmi zauważyli uciekające wszelkiemi otworami ubrania olbrzymie mrówki, które prawdopodobnie osaczyły nieszczęśliwego, gdy się położył w pobliżu mrowiska, nie zauważywszy tego, aby trochę wypocząć. Przewieziony do szpitala młodzieniec zmarł. Stwierdzono, że całe jego ciało było jakby jedną raną. Mrówki strasznie go pogryzły i jednocześnie zatruły kwasem mrówczanym.

Siedem miljardów listów rocznie

Dyrekcja główna poczt angielskich ogłosiła sprawozdanie za rok ubiegły. Jak wynika zeń, działalność poczty wzrosła olbrzymio, a liczba korespondencji i przesyłek jest taka, iż pół wieku temu wydawałaby się fantastyczną. Otóż w ciągu roku 1935 poczta dostarczyła lub wyekspedjowała zgórą 7 miljardów listów i 150 miljonów przesyłek. Jest to rekordowa cyfra w porównaniu z cyframi nietylko poczty angielskiej ale i innych poczt w Europie.

Amerykańskie radjo policyjne w New Yorku

Ciekawe zastosowanie znalazło radjo w służbie policyjnej olbrzymiej metropolji amerykańskiej New Yorku. Miasto to podzielono na blisko trzysta obwodów, z których każdy ma na swem terytorjum po dwa auta patrolowe policji. W aucie takiem, poza szoferem, i strzelcem z karabinem maszynowym, znajduje się jeszcze radjotelegrafista, bacznie nasłuchujący czy stacja nadawcza policji nie wyda mu jakichś poleceń.

Gdy zabrzmi w głośniku samochodu głos z prezydjum policji, wóz natychmiast rusza, by wykonać wskazane zadanie np. przeszukanie domu, w którym przed chwilą popełniono morderstwo. Oczywiście samochód policyjny pędzi z zawrotną szybkością, a inne wozy obowiązane są bezwzględnie usunąć mu się z drogi.

W departamencie radjowym prezydjum nowojorskiej policji znajduje się szczegółowa mapa miasta, na której w wymalowanych obwodach widzimy po dwa krążki z numerami dyżurnych samochodów policyjnych. Wozy znajdujące się w ruchu, oznaczone są zapomocą przekręcenia krążka kol. czerwonego. Umożliwia to natychmiastową orjentację, czy i jakie wozy w poszczególnych obwodach są do dyspozycji centrali.

Trzeba dodać, iż załoga auta policyjnego porozumiewa się z prezydjum policji zapomocą telefonów, gęsto rozsianych po całym mieście, przyczem oczywiście wszystkie telefony prywatne i handlowe, gdziekolwiekbądź nie znajdowałyby się, stoją do dyspozycji funkcjonarjuszy policyjnych.

Z za grobu

(Opowiadanie niezwykłe.)

W połowie czerwca wpadł do mnie kolega Mirek.

— Mówiłeś, że postarasz się o jakąś kondycję na lato, żeby zarobić trochę grosza — rzekł — otóż trafia się coś lepszego: hr. Pełka poszukuje młodego studenta dla uporządkowania bibljoteki. Przecież to wymarzone zajęcie dla filozofa i takiego mola książkowego, jak ty. Napisz zaraz, przyniosłem ci adres.

Uściskałem poczciwego kolegę i posłałem ofertę piśmienną. Przez kilka dni nie było odpowiedzi.

— Pewno zbiera wiadomości o mnie — pomyślałem — słusznie! trzeba wiedzieć, kogo bierze się do domu.

Wreszcie dostałem od hrabiego bilecik: prosił o przybycie do hotelu dla osobistego porozumienia się.

Przyjął mię mężczyzna w średnim wieku; miał twarz rozumną i surową, oczy bystre, ciemne włosy krótko przystrzyżone. Nad tą głową musiały szaleć burze, tą duszą wstrząsnęły gwałtowne namiętności, świadczyło o tem poorane czoło, posępny wyraz oczu i gorycz która osiadła w kącikach ust.

Był grzeczny, ale chłodny, objaśnił czego żąda ode mnie i za moją pracę ofiarował mi wynagrodzenie, które mię olśniło.

— Czy umie pan pisać na maszynie? — zapytał — chcę dyktować panu moje wspomnienia z podróży, które mam zamiar wydać.

— Umiem, panie hrabio.

— To dobrze. Muszę uprzedzić pana, że będziesz prowadził życie bardzo ciche i jednostajne, gdyż u mnie nikt nie bywa.

— Będę miał książki i przechadzki, to zapełni mi czas wolny od pracy.

— Jest łódka, którą będzie pan mógł jeździć po jeziorze.

Z ciekawością jechałem do rezydencji hr Pełki. Tuż nad jeziorem stał niewielki, ale ładny pałac z wieżą, otoczony rozległym, starannie utrzymanym parkiem.

Praca nad uporządkowaniem bogatej bibljoteki zabierała mu kilka godzin dziennie; hrabia przez godzinę dyktował mi opisy podróży po Azji i Afryce, resztą czasu mogłem rozporządzać dowolnie. Czytywałem dużo, jeździłem łodzią po jeziorze i zwiedzałem okolicę.

Obiad podawano zawsze o 6-tej; tylko nas dwóch zasiadało do niego.

Małomówny hrabia wyglądał na człowieka dręczonego wyrzutami sumienia. Chciał może zagłuszyć je pracą. Nigdzie nie bywał i nikogo nie przyjmował. Wieczory spędzał samotnie w wieży. Jedyne wejście do niej było z bibljoteki, a klucz od drzwi nosił przy sobie; wszedłszy tam, znowu przekręcał go w zamku.

Jedyną osobą, z którą zamieniałem od czasu do czasu słów kilka, była gospodyni, niemłoda poczciwa kobiecina.

Po trzech tygodniach pobytu w pałacu, znałem tylko dwa pokoje: bibljotekę i jadalnię. Raz przechodząc przez sień, zobaczyłem drzwi otwarte od salonu i stanąłem, żeby przyjrzeć się portretowi, wiszącemu na ścianie. Przedstawiał młodą, śliczną kobietę o słodkiej twarzyczce i smutnych oczach.

— To nieboszczka pani hrabina — usłyszałem za sobą głos gospodyni, która właśnie nadeszła.

— Dawno umarła?

— Dwa lata temu. Ach! to był anioł!... Jeszcze jest piękniejsza na portrecie, który wisi w pokoju na wieży.

— Pan hrabia musiał ją bardzo kochać?

— Bardzo, a jednak...

Urwała nagle i wyszła, jak gdyby lękała się powiedzieć za dużo.

— Tu musiał być jakiś dramat — pomyślałem.

W kilka dni później jeździłem łódką po jeziorze ;wieczór już zapadł, kiedy podpłynąłem pod pałac. Świeciło się na wieży, a przez otwarte okno doszedł mię dźwięk głosu, nad wyraz rzewny, błagający, pełen smutku.

Był to głos kobiecy...

Nie mogłem rozróżnić słów, jedno tylko zdanie mię doszło:

— Błagam cię, nie czyń tego!...

Wróciłem do domu zdziwiony i zaciekawiony: o co ta kobieta tak usilnie prosiła hr.? Bujna wyobraźnia podsuwała mi różne przypuszczenia: a może hrabia więził w baszcie jaką kobietę? Sam rozśmiałem się na tę myśl.

Minęło kilka tygodni i znowu wieczorem wracałem z przejażdżki po jeziorze. W tem, z otwartego okna wieży doszedł mię ten sam głos słodki i przejmujący, pełen bólu.

— Zaklinam cię na wszystko, wysłuchaj mojej ostatniej prośby! Miej litość nad...

Plusk wiosła, które uspuściłem w tej chwili, zagłuszył dalsze słowa. Głos zamilkł.

Wróciłem do domu zaniepokojony. Co się tam działo na wieży? Kto była ta kobieta, która daremnie błagała hrabiego o litość? Czy przypadkiem nie trafiłem na ślad jakiej zbrodni? Dlaczego hrabia nosił przy sobie klucz wieży?...

Postanowiłem wybadać gospodynię, która z pewnością była wtajemniczona w tę sprawę i spotkawszy ją nazajutrz, rzekłem:

— Ciekawe rzeczy można usłyszeć wieczorem z wieży...

Spojrzała na mnie przerażona.

— Słyszałeś pan jej głos? — wyjąkała.

— Czyj?

— Nieboszczki pani hrabiny.

— Niechże pani we mnie nie wmawia, że duch hrabiny przychodzi wieczorami rozprawiać w wieży. To był głos żywej kobiety...

— A ja przysięgam panu, że tam żadnej kobiety nie było.

Powiedziała to z taką mocą i powagą, że zamilkłem.

— Widzę, że nie mogę dłużej dochować tajemnicy, bo inaczej pan gotów pomyśleć Bóg wie co — rzekła po chwili. — Pan hrabia tylko siedem lat żył z żoną; kochał ją, nie mógł jednak dla jej miłości wyrzec się brzydkiego nałogu: lubił zaglądać do kieliszka, a jak się upił... to było źle... Bolała nad tem pani hrabina i starała się poprawić męża, ale jej łzy, prośby i perswazje, był to groch o ścianę. Zmartwienie wpędziło ją do grobu. Wątła była, jak kwiatuszek... Pielęgnowałam ją w ostatniej chorobie. Pan hrabia rozpaczał, przysięgał, że pić nie będzie, ale już było za późno... Pani hrabina kazała wtedy przynieść jakiś dziwny przyrząd, zapomniałam, jak to się nazywa. Jeżeli mówi się w tubę, to później, jak pokręci się korbką, przyrząd powtarza wszystko, co się powiedziało.

Domyśliłem się, że mówiła o fonografie.

— Pani hrabina pochyliła się nad tubą i zaczęła najczulej błagać męża, żeby wyrzekł się swego nałogu. Głos jej był tak rzewny, i przejmujący, że mnie łzy ciurkiem leciały z oczu... Potem rzekła do męża: „Ile razy przyjdzie na ciebie pokusa, mój głos powstrzyma cię od złego... Będzie ci się zdawało, że to ja sama przemawiam do ciebie z za grobu"... Pani hrabina mieszkała w wieży i tam umarło niebożątko. W jej pokoju nic nie zostało ruszone i tylko mnie wolno tam iść rano, żeby go sprzątnąć. Pan hrabia spędza w wieży całe wieczory i słucha czasem głosu żony.

Gospodyni odeszła, ocierając zapłakane oczy. Słowa jej sprawiły na mnie silne wrażenie. Jak potężna musiała być miłość hrabiny, kiedy natchnęła ją myślą tak niezwykłą, dzięki której nawet z za grobu dopomaga mężowi w walce ze zgubną namiętnością! *S. Z.*

„Dlaczego miałbym go zamordować?“ odparł Morizano. „Alfred Robber również nie myśli nastawać na życie hrabiego. Wystarczy nam najzupełniej, gdy będzie siedział w małej celi. Lecz kto zapłaci koszta, jeżeli hrabia Zygmunt Sokolski zostanie dłuższy czas w moim zakładzie?“

„Ja!“ zawołał Satanelli. „Z Paryża będę wam posyłał co miesiąc 500 franków. Myślę, że wystarczy.“

„500 franków?“ odparł Morizano, a jego oczy zabłysły chciwym ogniem, „mało dajecie mi za usługę. Lecz niech i tak będzie! Powiedzcie jednak, czy nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo ze strony krewnych?“

„Bądźcie spokojni!“ odparł stanowczo Satanelli.

„Elza Rodeń nie wie, co się stało z hrabią Zygmuntem Sokolskim?“ badał doktor Morizano.

„Ani ona, ani hrabia Kazimierz Zamski. Uprowadziłem pokryjomu hrabiego i nie zostawiłem żadnych śladów. Ludzie pomyślą sobie: hrabia Zygmunt utonął w morzu, albo zginął w afrykańskich lasach! Nikt nie odkryje śladów hrabiego!“

„W takim razie sprawa załatwiona!“ zawołał doktor Morizano, „markizie Satanelli, masz moją rękę! — Hrabia Zygmunt Sokolski zostanie żywcem pogrzebany w zamku szczurów.“

„Na zawsze! Cudownie, doktorze Morizano!“ odparł Satanelli. „Pamiętajcie jednak, że przysiągłem pewnej osobie, iż życiu tego mężczyzny nie zagraża niebezpieczeństwo! — Jeżeli umrze na jaką ciężką chorobę, w takim razie nie będzie to naszą winą. Niebo jest silniejsze od nas! Lecz musicie uważać, by nie zginął z ręki mordercy lub truciciela!“

Detektyw wyjął portfel i położył na biurku 500 franków.

„Pierwszy miesiąc jest zapłacony; następnie raty będę posyłał pocztą. Nie dziwcie się, że moje listy będą bez podpisu i pisane na maszynie. Nie piszę z zasady listów w tego rodzaju sprawach. Teraz przebiorę się i wyjadę zaraz z Londynu! Jutro będę w Paryżu; muszę uważać, by mi nikt nie mógł udowodnić, że dzisiaj byłem w Londynie.“

Satanelli wdział prędko swoje fałszywe ubranie. — Następnie pochylił się nad kufrem, w którym leżał hrabia Zygmunt Sokolski.

„Byłeś przeszkodą dla szczęścia mojej córki,“ zawołał Satanelli, spoglądając na woskową twarz hrabiego, „dlatego musiałem cię usunąć z drogi! Od dzisiaj — jesteś żywcem pogrzebany w tym domu! Nigdy nie spotkasz Loli i nie zakłócisz jej szczęścia!“

Satanelli wyszeptał cicho te słowa, tak, że Robber i Morizano nie posłyszeli ani jednego zdania.

Następnie podał rękę szelmowskim spólnikom i wyszedł z pokoju. Ten dom przejmował go niewysłowioną trwogą.

W dwie godziny później Edwin Lister jechał okrętem, który kursuje między Anglją i Francją. Stał spokojnie na pokładzie i spoglądał na spienione morze.



Podczas akademickich regat w Henlen, w Anglji, zwyciężyła bezapelacyjnie ósemka wioślarzy japońskich, wyprzedzając inne załogi. Dopiero o dwie długości za Japonią, jak to widzimy na zdjęciu, — płynie Francja.

„Teraz, moje dziecko,“ wyszeptał cichym głosem „możesz spokojnie używać szczęścia. Teraz, moja Lolu, nikt nie wydrze ci Kazimierza. Hrabia Zygmunt nie zdemaskuje twojego oszustwa.“

CLVI.

Pokuta za fałszywy krok

Hrabia Zygmunt Sokolski otworzył oczy. Zbudził się z długiego, głębokiego snu.

Co to było? Boże, znajdował się w małej celi! — Nagie posępne ściany spoglądały na niego. Jego wzrok padł na małe, zakratowane okienko.

Nie, to był tylko straszny sen! W jaki sposób dostał się do tej nieprzyjemnej izby? Skąd się wzięło to nędzne posłanie, na którem obecnie leżał?

Zygmunt przymknął znowu oczy, musiał odpocząć i pozbierać myśli.

Co się z nim stało? Dlaczego czuł taką ociężałość w całem ciele? Dlaczego nie mógł się podnieść z posłania? Nawet jego powieki poruszały się tylko z trudem! Każdy ruch wymagał wielkiego natężenia.

Uczucie niemocy przebiegało jego ciało. W głowie czuł zamęt, jak po nieprzespanej nocy i nadmiernym użytku wina.

Lecz nie! Znowu spojrzał dokoła i zobaczył ten sam posępny pokój, w którym prócz posłania, na którem leżał, nie było nawet stołu ani krzesła. Teraz było mu jasnem, że to nie sen.

Czyż nie mieszkał w hotelu „Kaiserhof“? Gdzie się podział ten pięknie urządzony salon?

Nie! Dokąd zaniosły go losy? To niemożliwe, by go zaaresztowano i osadzono w więzieniu!“

Rzeczywiście, ta cela, w której się znajdował hrabia Zygmunt, wyglądała gorzej, aniżeli więzienie.

Sokolski wsparł głowę na ręce i wytężył swoje myśli. Co takiego zaszło, zanim się zbudził w tym pokoju?

Słusznie! W hotelu Kaiserhof“ spotkał swojego przyjaciela Kazimierza, który niestety stracił światło oczu; — co było dalej?

Boże! Kazimierz powiedział mu potem, że Anielcia wróciła z Ameryki i że za kilka minut zobaczy ukochaną córkę!

A następnie? — Detektyw Lister, którego sprowadził z Paryża, — tak, z nim także się widział. Zygmunt przypominał sobie to dokładnie.

Lecz gdzie? Ah, w swoim pokoju! Rozmawiali razem, — nagle wszystko się skończyło. Na wspomnieniach hrabiego zawisła czarna zasłona.

Nie, musi dociec, — co się stało w tej godzinie. Dociec za każdą cenę! Moralna trwoga dopomogła mu do podniesienia się z posłania.

Stanął na nogach i zatoczył się jak pijany. Nie mógł sobie przypomnieć, czy pił wino lub brał udział na jakiej zabawie, której skutki pokazywały się dopiero teraz. Skąd to oszołomienie?

Zygmunt przystąpił do małego, zakratowanego okienka. Obydwoma rękami chwycił za żelazną kratę. — Nagle uczuł ogólne osłabienie. Byłby upadł na ziemię, gdyby się był nie zatrzymał zawczasu.

Nowy przestrach! Zygmunt przetarł ręką oczy; zdawało mu się, że stracił nagle zmysły.

Pod oknami było widać bezbrzeżną przestrzeń wody i spienione fale. To nie była rzeka lecz morze. W dali pokazał się biały żagiel.

Posuwał się z błyskawiczną hyżością po wodzie. — Teraz rozległ się świst, a parowiec przecinał morskie fale i po chwili zniknął na horyzoncie.

Jego oczy spoglądały na dziwną panoramę. To nie był Berlin! Wiedział jednak dobrze, że był w niemieckiej stolicy. — Lecz morze, — morze!

Z piersi Zygmunta wydobyło się głębokie westchnienie; powoli pojmował, że zaszło coś strasznego! Przeczuwał, że najbliższa przyszłość przyniesie mu okrutne odkrycie.

Widocznie mściwy los, albo zła potęga przeniosła go bez wiedzy do obcego kraju.

Ha, te drzwi! Tak, otworzy drzwi i wybiegnie na pole; musi się przekonać, co się z nim stało. Przecież w domu spotka jaką ludzką istotę, która mu odpowie na jego pytania.

Tak, w ten sposób najprędzej się przekona. Zygmunt zbliżył się do drzwi i próbował je otworzyć drżącą ręką. Niestety drzwi nie miały klamki i zewnątrz nie można było ich otworzyć.

Hrabia Zygmunt próbował przemocą otworzyć drzwi.

Lecz jego siły nie mogły podołać temu zadaniu.

„Uwięziony"!

Teraz odgadł hrabia Zygmunt przeznaczenie tej celi. To zakratowane okienko i zamknięte drzwi! Podstępnie sprowadzono go do tego miejsca i uwięziono w małej celi. Lecz równocześnie myślał nad nową zagadką.

Kto go tutaj przyprowadził? Komu zależało na tem? Kto się odważył na taki uczynek?

To było niemożliwe, by go ktoś uwięził. W takim razie musianoby go wyprowadzić z hotelu „Kaiserhof". Dlaczego nic nie zauważył? Dlaczego nie wiedział co się z nim stało? Czyżby go uśpiono?

Zygmunt położył rękę na czole i zamyślił się nad swoim losem. Przychodził do tego przekonania, że go ktoś uśpił.

„Dobrze, Zygmunt pojmował to i brał jako rzecz dowiedzioną! Lecz morze, rozciągające się dokoła!

Skąd się wzięło morze? To było niemożebne, by go wywieziono z Berlina!

Nagle posłyszał kroki! Zbliżyły się do drzwi! Teraz się dowie, co się z nim stało.

Zygmunt postanowił znieść wszystko z godnością wielkiego pana.

Nagle otworzyły się drzwi, okute w żelazo.

Zygmunt stał pod zakratowanem okном. Stamtąd chciał dokładnie obserwować, co mu się teraz pokaże.

Po chwili z jego ust wydobył się przeraźliwy okrzyk.

Stojący przed nim siwy mężczyzna o złowrogiem spojrzeniu, był mu znany niestety. Zygmunt wiedział, że dla niego wybiła teraz ostatnia godzina.

„Doktor Morizano!" krzyknął ochrypłym głosem i drżącą ręką chwycił za kratę.

„Tak, doktor Morizano!" odparł przybyły, zamykając drzwi za sobą. „Pan hrabia widzi przed sobą rzeczywiście doktora Morizano! Jesteś pan w moim domu! Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym powiedzieć, że pan został zamknięty w domu warjatów."

Morizano spodziewał się, że ta wiadomość wywrze na Zygmuncie olbrzymie wrażenie. Lecz hrabia stał zupełnie spokojnie i rzekł dźwięcznym, wyniosłym tonem:



Małżeństwo Mollison przynajmniej raz widzimy nieurzędowo, i to na wywczasach, w jednem z nadmorskich uzdrowisk w Anglji. Jak się ostatnio rozeszła pogłoska, małżeństwo Mollison mają przewieźć spowrotem do Abisynji negusa.

„Kto mnie uwięził w domu warjatów? Wobec tego, że to pański zakład, jestem przekonany o nowem łotrostwie, którego dopuszczono się na mojej osobie!

„Pan się mylił!" odparł Morizano; „muszę otwarcie wyznać, że osoba, która umieściła pana u mnie z poleceniem, bym się zaopiekował jego zdrowiem, aż do zupełnego wyleczenia, wcale nie jest wrogą względem pana hrabiego. Zresztą to obojętne!"

„O kim pan mówi? Kto dał panu takie polecenie? Kto mnie zawiózł do pańskiego zakładu dla obłąkanych?"

„Jedna dama; niejaka Elza Rodeń!" brzmiała odpowiedź doktora Morizano.

„Elza Rodeń"?

Zygmunt oniemiał; jego twarz pokryła się trupią bladością.

„Elza Rodeń?" powtórzył, „ona, — ona sprowadziła mnie tutaj i powierzyła pańskiej opiece? W domu warjatów? Panie doktorze, nie myślałem, że pan odważy się na takie bezczelne kłamstwo! Za dobrze znam Elzę Rodeń! Nigdy nie powierzyłaby mnie pieczy obcej osoby zwłaszcza gdybym był rzeczywiście chory. Najmniej zaś panu!"

Doktor Morizano wzruszył obojętnie ramionami i odpowiedział:

„To mi jest obojętne, czy pan wierzy, czy nie! — Oświadczam jednak z góry, że pan skutkiem pomieszania zmysłów pozostanie dłuższy czas w moim zakładzie."

„To znaczy, inaczej mówiąc," przerwał Zygmunt, „jestem skazany na stały pobyt w domu warjatów! Może wogóle nie opuszczę tego miejsca!"

„Bardzo możliwe!" odparł drwiąco doktor Morizano, „jeżeli Bóg nie raczy przywrócić panu zdrowych zmysłów."

„Przecie nie zwarjowałem," zawołał z oburzeniem Zygmunt, „i życzę panu, byś był zawsze tak świadom siebie, jak ja w tej chwili!"

„Każdy obłąkany to samo twierdzi!" rzekł doktor Morizano, „zresztą nie przyszedłem w tym celu bym rozmawiał z panem o podobnych kwestjach. Muszę zapoznać pana z przepisami mojego zakładu. Jedzenie dostanie pan w celi. Teraz proszę zdjąć ubranie i wdziać strój, który noszą wszyscy moi pacjenci."

Doktor, wymawiając te słowa, zbliżył się do drzwi, otworzył je kluczem i zawołał głośno:

„Przynieś ubranie."

Teraz zjawiła się we drzwiach nowa postać. Hrabia Zygmunt przestraszył się mocno na widok tego człowieka.

„Haha", zaśmiał się nowoprzybyły, „pan hrabia poznał starego znajomego."

„Tak, poznałem pana," odparł Zygmunt stłumionym głosem, „to Alfred Robber. Teraz nie mam najmniejszej wątpliwości. Jestem nietylko w domu warjatów, lecz co gorsza, w jaskini zbójców, w której czeka mnie powolna i pewna śmierć."

„Panie hrabio, podziwiam trafność pańskiego zdania," odparł z cynicznym uśmiechem rudowłosy bandyta, „zawsze to lepiej, gdy człowiek wie co go czeka. Zdejm pan ubranie! Nie mamy czasu na próżne pogadanki!"

„Nie zdejmę mojego ubrania!" odparł dumnie Zygmunt Sokolski, „nie jestem warjatem i dlatego nie wdzieję stroju przeznaczonego dla wychowanków tego zakładu."

„Co? Ty nie chcesz słuchać naszych rozkazów?" zawołał rudowłosy bandyta, „czekaj, ja ci tu pokażę, kto z nas dwóch ma większe prawo."

Rzucił na ziemię zawiniątko, które przyniósł do celi i przyskoczył do hrabiego.

Zygmunt był za słaby i nie mógł stawić oporu sile bandyty. Upadł na ziemię, a Alfred Robber obrabiał go pięściami po całem ciele. Po chwili rzucił się na hrabiego jak tygrys i zdarł mu z ciała całe ubranie.

„Tak, teraz możesz wdziać te szaty," zawołał drwiącym tonem. „Zresztą rób jak chcesz! Pamiętaj tylko, hrabio Sokolski, jeżeli jeszcze raz odważysz się stawić opór naszej woli, to zapoznamy cię z rózgą! Tak, przypatrz się, jak wygląda ta poskromicielka warjatów! — Wkrótce zatańczy na twoich hrabskich plecach!"

Zygmunt podniósł się, drżąc na całem ciele. W jego twarzy malowało się szlachetne oburzenie.

„Możecie mnie zabić," zawołał, „katować, bić, męczyć, lecz nie wolno wam poniżać bezbronnej osoby! Oh, moja biedna Almo, teraz pojmuję twoje katusze; siedemnaście lat przepędziłaś w rękach tego siwowłosego szatana. — Tak, to pokuta za mój fałszywy krok, przez który dostałaś się do domu warjatów. — Każdy grzech pociąga za sobą pokutę! A gdy zemsta ociąga się, to jednak nadejdzie chwila, w której

spadnie na winnego człowieka. Dobrze, więc wycierpię z pokorą tę pokutę za moje grzechy!"

„Teraz musimy jeszcze zrobić małą zmianę w jego zewnętrznym wyglądzie," zauważył doktor Morizano. — „Trzeba go oszpecić, by, w danym wypadku nie można było go rozpoznać. Lepiej się zabezpieczyć. — Alfredzie Robberze, przynieś brzytwę i nożyczki! Ogolimy go i ostrzyżemy. Obecnie będzie grał rolę ducha w „zamku szczurów", a duchy jak wiadomo nie noszą wąsów ani długich włosów."

Alfred Robber zaśmiał się z tego dowcipu i rozkazał hrabiemu usiąść na posłaniu.

„Obchodzicie się ze mną jak z więźniem!" zawołał Zygmunt Sokolski, „niech i tak będzie; nie będę się wam opierał. Lecz przysięgam wam: nadejdzie dzień, w którym otrzymacie swoją nagrodę. Możecie mnie zamordować i moje kości rzucić do morza, lecz nie unikniecie zemsty. Z moich popiołów powstanie wasz mściciel. Gdy najmniej będziecie się spodziewać, stanie przed wami i pociągnie was do odpowiedzialności."

Brutalne uderzenie w piersi powaliło hrabiego na posłanie.

Alfred Robber wyjął tymczasem nożyczki. Ostrzygł mu aż do skóry włosy i piękną brodę; Robber nie zadowolił się tym czynem.

Wyjął z kieszeni brzytwę i tępem ostrzem golił niemiłosiernie twarz hrabiego, dopóki nie zniknął ostatni ślad z pięknej brody.

Biedny hrabia zmienił się do niepoznania. Było całem szczęściem dla niego, że się nie mógł zobaczyć w zwierciadle. Nie uwierzyłby swoim oczom, gdyby zobaczył to blade oblicze bez zarostu.

Obydwa łotry śmiali się serdecznie na widok zmienionej twarzy hrabiego. Zygmunt spojrzał na nich z wyrazem pogardy; nie miał słów dla tych bestyj w ludzkiem ciele.

Teraz zamknęły się drzwi za łotrami. Lecz po chwili wszedł do celi Alfred Robber, który widocznie pełnił służbę dozorcy. W ręce niósł miskę.

„Pościłeś pan długo," rzekł ostro, „masz, jedz, przyniosłem ci jedzenie!"

Równocześnie włożył hrabiemu w rękę łyżkę i przysunał mu miskę.

Zgniły zapach wydobywał się z jedzenia. W misce pływały w brudnym sosie małe kawałki końskiego mięsa i stare ziemniaki.

„Co, nie smakuje panu hrabiemu?" zawołał rudowłosy bandyta, „o wierzę mocno, kawior i ostrygi smakują o wiele lepiej. Musisz się przyzwyczaić do naszej kuchni, bo inaczej umrzesz z głodu!"

„Nikt nie zmusi mię, bym jadł tę śmierdzącą strawę", odparł hrabia Zygmunt Sokolski. „Dajcie mi kawałek chleba i dzbanek wody."

„Haha, wam się zdaje widocznie, że jesteście w hotelu, gdzie potrzebujecie tylko rozkazywać. Czekaj, ja ci już wypędzę z głowy te myśli."



„Taki upał, a trzeba chodzić w fraku i cylindrze!" — w ten sposób narzekał wytworny pan z roku 1833, grając w Londynie partję kriketa.

Alfred Robber wziął rózgę, wzniósł ją do góry i uderzył hrabiego w twarz z całej siły.

Zygmunt krzyknął boleśnie; na jego twarzy pokazała się krwawa pręga. Krew uderzyła mu do głowy z oburzenia, że się z nim obchodzono jak z niewolnikiem, albo zbrodniarzem. Hrabia Sokolski zerwał się i rzucił na rudowłosego bandytę. Starając się pochwycić rózgę, zawołał ochrypłym głosem:

„Nie zniosę tego, nawet gdybym musiał przypłacić własnem życiem."

Równocześnie chwycił Alfreda Robbera za rękę, lecz rudowłosy bandyta złapał go za gardło i ciągnął ku posłaniu. Po chwili rzucił go na tapczan i bił z całych sił nieszczęśliwego człowieka.

Biedny hrabia leżał napół nieprzytomny, gdy Alfred Robber wyszedł z celi z szatańskim uśmiechem. — Krew sączyła się z ran na głowie; Zygmunt spojrzał na czerwoną wstęgę i zawołał:

„Och, gdybym mógł umrzeć! Dlaczego opuściłeś mię, Boże! Zasłużyłem na taki los? Czy zakończę życie niewinnie w domu warjatów?"

„O biedna Elzo, serce pęknie ci z bólu, gdy nie wrócę do domu. Biedna, ukochana istoto, ile łez wylejesz, gdy mię nie zobaczysz więcej! Wyrwano mię z objęć miłości i przyjaźni i wtrącono do domu warjatów! — O Boże, za ciężko karzesz mię za jeden fałszywy krok!"

CLVII.

Nowy pan na zamku Sokolskich

Minęło pół roku od zagadkowego zniknięcia hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Olbrzymie wrażenie, które wywołał ten wypadek w całym kraju, uspokoiło się powoli, gdyż świat żąda ciągle świeżych nowości! Wczorajsze zdarzenie mniej interesuje nazajutrz! Każdy dzień przynosi nowe niespodzianki.

Świat zapomniał wkrótce o Zygmuncie i tylko nieliczni przyjaciele wspominali o nim. W jednem tylko sercu żyło jego nazwisko, a to serce biło w piersi Elzy Rodeń.

Minął rok troski i bólów! Ile łez wylała w tym roku! Ile westchnień wydobyło się z jej piersi! Spędziła tyle nieprzespanych nocy!

Teraz, chodząc po ogrodzie, tonącym w wiosennej zieleni, — zdawało się jej, że to tylko sen! Tam wznosił się zamek Sokolskich, a gdzie się podział jego pan? — Spoglądała w okno jego kancelarji, — lecz duch Zygmunta nie bawił w tym zabudowaniu!

W ogrodzie kwitły znowu kwiatki, a Zygmunt nie napawał się ich pięknością. Jego oczy nie widziały tego morza zieleni i orgji barw.

Tam, w pobliżu fontanny stała ławka, na której zwykle siadywał, — teraz ławka była pusta! Nie było Zygmunta, który z kochanką przechadzał się po lipowych alejach. Tam za drzewami było widać dom, w którym mieszkała nieszczęśliwa Alma.

Biedna ofiara żyła ciągle, a Zygmunt spoczywał prawdopodobnie w zimnej mogile. Ten piękny, silny mężczyzna zginął przedwcześnie! A obłąkana żyła!

Elza płakała rzewnie. Dziwiła się, że jeszcze może płakać. Lecz źródło boleści jest zwykle bezdenne.

Usiadła na ławce. Jej czarno ubrana postać odbijała się dziwnie od zielonego tła oleandrów.

Gdyby przynajmniej miała tę pewność, że ukochany rzeczywiście umarł, to ta straszna świadomość byłaby dla niej bolesnem pocieszeniem.

Lecz nie wiedzieć, co się stało z umiłowanym Zygmuntem, — czy jeszcze żył, czy też zginął z ręki mordercy, — to przechodziło siły Elzy Rodeń.

Ach, starała się odkryć ślady zaginionego! Poruszyła niebo i ziemię! Próbowała wszystkich środków, by zerwać zasłonę z tajemniczego zniknięcia hrabiego.

Napróżno! Na nic się zdały trudy. Cała sfora detektywów przy pomocy władzy, nie odkryła najmniejszego śladu.

Tyle było pewnem, że hrabia Zygmunt spotkał się w Berlinie w hotelu „Kaiserhof" z ocienniałym mężczyzną, który się zameldował jako hrabia Kazimierz Zamski.

Lecz ten zagadkowy hrabia wyjechał nagle ze swoją żoną. On jeden mógł dać pewne wskazówki; niestety zginął jak kamień w wodzie.

Elza pisała kilka razy do Kazimierza i adresowała do jego ojcowskich dóbr, spodziewając się, że w razie nieobecności służba pośle dalej listy.

Nie otrzymała jednak odpowiedzi. Elza naturalnie się nie domyślała, że wszystkie listy wpadły w ręce Loli, która je natychmiast paliła.

Elza wiedziała także, że hrabia Zygmunt miał się spotkać w Berlinie ze

słynnym detektywem Edwinem Listerem z Paryża. W książce hotelowej było zapisane, że w owym dniu Edwin Lister mieszkał w hotelu „Kaiserhof". Zwróciła się więc listownie do Listera w Paryżu i prosiła go o dokładną wiadomość, kiedy się rozszedł z hrabią i co myśli o nagłem zniknięciu Zygmunta.

Edwin Lister odpisał, że po rozmowie z hrabią w hotelu „Kaiserhof" wyjechał na drugi dzień do Paryża. Zygmunt miał zamiar, tego samego dnia wrócić na zamek Sokolskich. Był zupełnie zdrów i nie okazywał samobójczego zamiaru. Zniknięcie Zygmunta jest dla niego również zagadkowe! Zresztą Edwin Lister ofiarował jej swoje usługi. — Elza, znając detektywa jako wybitnego fachowca na polu kryminalistyki, przyjęła bez wahania jego grzeczność.

Poruczyła mu całą sprawę, dotyczącą zaginionego bez wieści Zygmunta.

Biedna oszukana Elżutka! — Zwierzyła się temu człowiekowi, który był głównym sprawcą zniknięcia hrabiego Sokolskiego!

Naturalnie Edwin Lister nic nie wskórał. Na koszta Elzy jeździł po całej Europie i nie odszukał zaginionego hrabiego.

„Znowu łzy? Nie może panienka zapomnieć?"

Elza popatrzyła na mówiącego wielkiemi, zdumionemi oczyma.

„Ach, to ty, Walenty?" zawołała, wskazując ręką, by usiadł obok niej na ławce. „I ty się pytasz, czy moja boleść zmniejszy się w tem życiu? Nie żal ci twojego dobrego pana? Nie płaczesz za tym godnym człowiekiem?"

Walenty tamował przemocą cisnące się do ócz łzy.

„Tak, wielmożna panienko!" odparł siadając na końcu ławki, „nigdy nie zapomnę naszego pana! Lecz stoję już nad grobem! Wkrótce zjawi się śmierć i wybawi mię z tego padołu nędzy! Przed panią otwiera się dopiero życie! Dlatego nie trzeba myśleć ciągle o smutku."

„Ach, gdybym przynajmniej miała pewność", zawołała Elza, „że hrabia Zygmunt rzeczywiście umarł. Pocieszyłabym się! Mój Walenty, w głębi duszy mam przeczucie, że żyje. Zdaje mi się, że słyszę jego wołanie o pomoc! W nocy zrywam się często z posłania i słyszę jego głos: Elzo, ratuj, oswobódź mię z tych katuszy!"

„Boże! Więc pani sądzi, że jakaś zbrodnicza ręka trzyma przemocą hrabiego w ukryciu?" zawołał stary sługa. „Toby była szatańska zbrodnia, która nie mogła powstać w ludzkiej duszy!"

„Podli ludzie są zdolni do wszystkiego", odparła Elżutka; „żyjemy w strasznych czasach!"

„Mój pan nie miał żadnych nieprzyjaciół!" zauważył Walenty.

„Każdy człowiek ma jakiegoś nieprzyjaciela! A nieznajomi są najniebezpieczniejsi!"

„Z czego to pani wnosi?" zapytał Walenty po krótkiej pauzie milczenia, „że nasz pan nie został zamordowany, lecz iż go ukryto przemocą w niewiadomem miejscu? Władza myśli: hrabia zabłąkał się wieczorem w Berlinie. Może go



Do jednej z najmilszych przyjemności lata, zalicza się chłodną kąpiel w jeziorze lub rzece, to też wszyscy z niej chętnie i z radością korzystamy.

zwabiono do jakiego domu. Tam zamordowano hrabiego i usunięto pokryjomu jego zwłoki. — Był porządnie ubrany! Jego brylanty wpadały w oczy. Może jaki łotr zobaczył jego pugilares, w którym znajdowało się zawsze dużo pieniędzy."

„W to nie wierzę", odparła stanowczo Elżutka; „hrabia nie mógł popełnić tej nieostrożności, by nieproszony wzrok padł do jego pugilaresu. Po drugie nie należy do tego rodzaju ludzi, którzy wchodzą do pierwszego lepszego domu! — Walenty, objaśnij mi jeden punkt! Dlaczego razem z hrabią zniknął jego kufer? W hotelu nie znaleziono tego kufra. To jest dowodem, że hrabia Zygmunt nie był wówczas w Berlinie. Spakował kufer i opuścił miasto."

„W takim razie byłby wrócił do zamku!" odparł stary Walenty.

„Naturalnie! Jestem przekonaną, że jakaś ważna sprawa zawezwała go za granicę. Hrabia Zygmunt widocznie nie miał nawet czasu na sprostowanie swojego pierwszego telegramu, w którym mię zawiadomił o swoim przyjeździe na zamek Sokolskich i o odnalezieniu Anielci! To imię zawiera w sobie rozwiązanie zagadki! — Hrabia z powodu swojej córki udał się gdzieś, skąd nie powrócił więcej! Dlatego poleciłam Edwinowi Listerowi, by odszukał także Anielcię! Gdy ją znajdziemy, to odkryjemy także ślad Zygmunta!"

„Daj Boże!" zawołał stary sługa. „Wesołe dni zapanują na zamku Sokolskich, gdy powróci hrabia Zygmunt i panna Anielcia! — Nie jestem zabobonny, droga panienko," mówił głucho starzec i spojrzał ukradkiem na przeciwległy dom, —„lecz jestem mocno przekonany że ta kobieta sprowadziła na nasz dom nieszczęście."

„O kim mówisz?" zapytała zdziwiona Elza.

„O nieszczęśliwej, którą wszyscy nazywają straszydłem zamku Sokolskiego!"

„Ach, masz na myśli biedną, obłąkaną Almę? Ona najmniej zawiniła w nieszczęściu, które spadło na nas!"

„Ja też nie powiedziałam, że zawiniła. Lecz z nią weszło nieszczęście do domu. Niech panienka sobie tylko przypomni Zaledwie umieszczono tu biedną obłąkaną, gdy podły Alfred Robber usiłował ją zamordować. O mało co nie straciła życia i chorowała kilka miesięcy. — Potem zdarzenie z doktorem Halerem, o którym niewiadomo, gdzie się podział. — Następnie straszne odkrycia o awanturnicy Loli, która podała się za córkę naszego hrabiego! I tak ciągle w kółko! Cios za ciosem! Kto wie, czy ostatni."

„Nic gorszego nie może już nas spotkać!" zawołała Elza drżącym głosem. „Strata hrabiego była dla nas najboleśniejszą!"

Równocześnie dały się słyszeć obce kroki na ścieżce, prowadzącej koło fontanny.

Elza spojrzała i zawołała zdumiona:

„Co to znaczy? — Zdążają ku nam dwaj nieznajomi panowie! Walenty, zapytaj ich, co sobie życzą."

Walenty powstał i zbliżył się do nieznajomych. Elza słyszała, jak jeden z nich odpowiedział:

„Powiedz pannie, że doktor Bruno Zellermann, adwokat sądowy, prosi o chwilkę rozmowy."

Elza wstała z ławki i zbliżyła się do nieznajomych panów.

Spojrzała na nich badawczym wzrokiem. Doktor Zellerman był niskiego wzrostu. Z pod nowego cylindra wyglądała jakby twarz lalki, odznaczająca się chytrością i podstępem. Na wargach, ozdobionych małym wąsem, igrał ustawicznie fałszywy uśmiech.

Towarzysz doktora Zellermana był wysoki jak tyka.

Cała jego postawa zdradzała na pierwszy rzut oka arystokratyczne pochodzenie.

Liczył jakie trzydzieści lat; na głowie miał słaby porost włosów. Wysiłki fryzjera nie zdołały zakryć łysiny. W prawem oku nosił czarno oprawiony monokl.

„Słyszałam, że panowie życzą sobie ze mną mówić. Jestem Elza Roden i stoję

do usług panów", rzekła Elżutka, schylając lekko głowę.

„Pani łaskawa pozwoli, że się przedstawimy", rzekł mały adwokat. „Moje nazwisko doktor Bruno Zellerman. Ten pan, mój towarzysz, to baron Sokolski."

Elza zdziwiła się. Przypominała sobie, że hrabia Zygmunt opowiadał kilka razy o tym baronie Sokolskim, który był jego dalekim kuzynem i pochodził z bocznej linji.

Hrabia Zygmunt oceniał zwykle cały świat nadzwyczaj łagodnie, lecz o tym baronie wyrażał się zawsze z przekąsem i niechęcią.

Baron nie wywierał wcale sympatycznego wrażenia.

Jego przeżyta twarz zdradzała, że dotychczas gonił za przyjemnościami życia i zadawalniał wszystkie namiętności; Elza Rodeń lubiła tylko takich mężczyzn, którzy nie trwonili majątku, ani zdrowia, lecz znajdowali przyjemność w pracy.

Z jakim zamiarem przybył do zamku Sokolskiego? Dlaczego zjawił się dopiero teraz.? Musiał przecież wiedzieć o tajemniczem zniknięciu hrabiego.

„Chodźmy do ogrodowego salonu," rzekła Elza. „Pomówimy tam spokojnie. Panowie zechcą pofatygować się ze mną! — Walenty, idź naprzód."

„Walenty?" zawołał baron, spoglądając na starego sługę przez monokl, „to ten Walenty, zaufana osoba mojego stryja! Słyszałem dużo o tobie; podobno służysz na zamku od niepamiętnych czasów."

„Pięćdziesiąt lat, panie baronie!" odparł poczciwy Walenty.

„Pięćdziesiąt lat!" powtórzył baron Sokolski, „ładny przeciąg czasu! Najwyższy czas, byś sobie odpoczął. — Pewnie próchnieją ci już kości?"

Stary Walenty zamilkł i spojrzał dziwnie na Elzę, która nagle zbladła jak kreda.

Towarzystwo zdążało ku terasie, prowadzącej do ogrodowego salonu.

Nagle zatrzymał się baron, spojrzał na zamek i przemówił do doktora Zellermana:

„Trzeba przyznać, że zamek nienajlepiej wygląda. Musimy go gruntownie odrestaurować i włożyć w niego kilkadziesiąt tysięcy."

Elza Rodeń niepokoiła się coraz bardziej. Jak dziwnie mówił ten człowiek! Zachowywał się, jakby był panem tego zamku. Co go to obchodziło, że zamek zachował średniowieczną szatę i że koszta odnowienia wyniosą dużą sumę?

Towarzystwo weszło na terasę. Walenty otworzył drzwi do salonu i wpuścił najpierw Elzę, a za nią dwóch nieznajomych panów.

„Walenty uważaj, by nam nikt nie przeszkadzał," zawołała Elza. „Proszę, siadajcie, panowie."

Panna Rodeń usiadła na jednym ze stołków, stojących dokoła stołu, zwrócona twarzą do portretu Zygmunta Sokolskiego.

Ach, zawsze spoglądała z miłością na te ukochane rysy.

Teraz nie mogła przezwyciężyć tego uczucia, że obecność drogiego mężczyzny byłaby dla niej bardzo pożądaną w tej chwili.

Baron stanął na środku salonu i obserwował wszystko uważnie. Przepych i elegancja, panująca w środku zamku, zadowoliła go nadspodziewanie.

Doktor Zellerman usiadł naprzeciwko Elzy Rodeń i wyjął ze skórzanej torebki, którą trzymał w ręce, cały stos aktów.

„Ach, rozumiem!" odparła Elza z gorzką ironją, „to znaczy wyraźnie mówiąc: jeszcze dzisiaj mam spakować moje rzeczy i opuścić ten zamek."

„Przykro mi bardzo," zapewnił baron Sokolski, „że nie mogę okazać się grzeczniejszym wobec pani. Zamyślam jednak rozpocząć gruntowną restaurację tego zamku."

„Z tego prawa wolno panu korzystać po upływie jednego roku. Pański adwokat powinien pouczyć o tem pana barona!" zawołała Elza.

„Dlaczego?" odparł baron; „ta stara buda skorzysta tylko, jeżeli ją odnowię! Nowe tapety, firanki, okna, świeże odmalowanie, — słowem zamek będzie zaraz zupełnie inaczej wyglądał!"

„Lecz dopiero za rok," obstawała Elza, „jeżeli hrabia Zygmunt Sokolski nie powróci w tym czasie do swojej siedziby."

„Słusznie," potwierdził doktor Zellerman, „pan baron musi poczekać jeszcze rok, zanim będzie mógł rozpocząć odnowienie zamku."

„Do djabła, poczekam! To nie zmieni jednak moich zamiarów! Pani będzie łaskawa opuścić przed wieczorem ten zamek."

„Nie zabawię tu ani minuty dłużej! Pan baron daruje, że zwrócę jego uwagę na pewne ważne sprawy. Służbę będzie można naturalnie natychmiast wydalić."

„Tak jest! Wypłacę im miesięczną pensję i sprawa załatwiona."

„Stary Walenty także odejdzie?"

„Czyżby był związany kontraktem?" zapytał baron Sokolski.

„Nie! Słyszałeś jednak pan, że służył przez pięćdziesiąt lat wiernie rodzinie Sokolskich! Jest za stary, nie znajdzie nigdzie nowego miejsca! Chcesz go pan wyrzucić na bruk i pozbawić chleba?"

„Jesteś pani wielką idealistką!" zawołał baron Sokolski; „gdyby Walenty służył u mnie pięćdziesiąt lat, to naturalnie okazałbym się względnym i wyznaczył mu małą pensję. Mój zmarły stryj powinien się był troszczyć o swoją służbę. Nie uczynił tego i dlatego nie czuję się zobowiązanym wobec starego Walentego!"

„Niech i tak będzie! Bóg nie opuści tego starca! Zaopiekuje się nim!" zawołała Elza, „lecz w tym zamku znajduje się jeszcze druga osoba, która absolutnie nie może wyjść z domu. Sądzę, że nie będzie panu przeszkadzała; mieszka w zabudowaniu za ogrodem.

„Owa nieszczęśliwa zasługuje rzeczywiście na litość. Powinien pan szanować tę kobietę jako drogi spadek po swoim stryju, któremu pan zawdzięcza cały majątek. Ta obłąkana stała niegdyś w bliskim stosunku do hrabiego Zygmunta! — Oh, pozostaw ją pan w tym bezpiecznym przytułku! — Kto wie, — może śmierć uwolni pana wkrótce od tej nieszczęśliwej. Ja zaś błagam pana barona o spełnienie tej prośby!"

„Więc to prawda!" odparł baron, podkręcając wąsa, „nie chciałem wierzyć, że mój kuzyn Zygmunt był tak nierozsądny i zatrzymał u siebie kochankę, która straciła zmysły. — Panie doktorze, gdybym chciał zabezpieczyć te wszystkie damy, z któremi łączyła mnie bliska znajomość, to musiałbym ten cały park zabudować domami; a może i toby jeszcze nie wystarczyło."

„To mnie nic nie obchodzi," przerwała Elza. „Proszę mi powiedzieć, jak pan postąpi z obłąkaną kobietą?"

„Zaraz się dowie pani! Ta kobieta, podobnie jak i inne osoby opuści natychmiast zamek! Tak, tego by jeszcze brakowało, — bym trzymał u siebie warjatkę, — straszydło zamku, — jak powiadają ludzie. — Lubię tylko wesołe straszydła; tego rodzaju zjawisk nie chcę widzieć za żadną cenę."

Jak okrutnie i podle brzmiały te słowa! Ten człowiek pochodził z rodziny Sokolskich! W jego żyłach krążyła ta sama krew co u Zygmunta! — Jak się stało, że natura stworzyła dwóch tak nierównych ludzi?

„Niech się stanie jak pan powiedział!" zawołała Elza Rodeń. — „Jeszcze dzisiaj opuści obłąkana te wrogie progi. Wezmę ją ze sobą i zaopiekuję się jak dzieckiem. Będę dumną z tego, panie baronie!

„Tak, ma pan słuszność, — tej nieszczęśliwej nie można zawierzyć panu. Uważałbyś ją pan za ciężar. Dla mnie będzie to zaszczytem, którego nie odstąpię nikomu!"

Doktor Zellerman spojrzał z zachwytem.

„Panie baronie, jesteśmy gotowi! Pan wybaczy, że się wydalę na chwilę!" rzekła Elza po krótkiem milczeniu.

„Momencik, droga pani," odparł baron, „chciałbym się o coś zapytać, — o czem mówiliśmy przedtem? — Przez ubiegłe półrocze zarządzała pani majątkiem i kasą? — Proszę wydać mi wszystko, jak się należy."

„Nie zarządzałam niczem, panie baronie!" odparła Elza. „Jeżeli jednak pan się spodziewał znaleźć na zamku duże bogactwa, to oświadczam zgóry, że nadzieje tą razą nieprzyjemnie zawiodły. Wiem tylko, gdzie się znajduje rodzinny skarbiec; lecz nie wyjawię tego panu. — Zresztą przed końcem roku nie ma pan do niczego prawa. Papierów wartościowych także niema. Hrabia Zygmunt złożył je w jednym banku. Nigdy nie troszczyłam się jego sprawami."

„Wyśmienicie! Z czego żyła pani przez te pół roku? Kto płacił służbę? Czyja kieszeń łożyła na domowe gospodarstwo?"

„Jeżeli pan chce koniecznie wiedzieć, to powiem panu całą prawdę," zawołała Elżutka. „Zmusiłeś mnie pan do wyjaśnienia! — Dobrze, niech i tak będzie.

„Gdy hrabia Zygmunt Sokolski wyjeżdżał z zamku, wręczył mi trzy tysiące marek na drobne wydatki. Temi pieniądzmi prowadziłam gospodarstwo przez pół roku; w ostatnich tygodniach wyczerpała się jednak kasa i dlatego podjęłam moje oszczędności, które wystarczą mi jeszcze najwyżej na kilka dni. Przy najlepszej woli nie jestem zobowiązana do żadnego sprawozdania.“

„Dokąd uda się pani?“ zapytał baron. „Może życzy sobie pani pozostać w książęcej rezydencji?“

„Wątpię bardzo, by to mogło interesować pana barona. Zapewniam jednak jeszcze raz, że dzisiaj uwolnię pana od mojej osoby. Obłąkana wyjedzie razem ze mną.“

Elza Rodeń skłoniła dumnie głową i przystąpiła do drzwi, prowadzących do drugiego pokoju.

Doktor Zellerman patrzył z podziwem za nią, — Baron Sokolski zrobił głupią minę.

„Mój drogi adwokacie,“ rzekł po chwili, „djabło piękna kobieta! Przykro mi, żem się z nią obszedł tak niegrzecznie. Szkoda, że jej nie pozwoliłem na zamieszkanie w ogrodowym domu Z czasem możeby udało się coś skorzystać!“

„Pan baron się mylił!“ odparł Zellerman, „do tej dziewczyny nie da się tak łatwo przystąpić! Zresztą muszę powiedzieć panu, że Elza Rodeń była narzeczoną zaginionego stryja. Wszyscy tak opowiadają!“

„Haha, to całe szczęście, że mój stryjaszek nie wziął ślubu. Inaczej, nie byłbym teraz w jego zamku i nie miałbym widoków na spadek trzydziestu miljonów.“

„O pańskim stryju obiega jeszcze inna pogłoska,“ rzekł adwokat, rzucając bystre spojrzenie na barona. „Nie słyszał pan o tem, że hrabia Zygmunt Sokolski miał podobno córkę?“

„Nie wywlekaj pan starych historyj!“ zawołał baron. „Jak się nazywa ta córka? — Nieprawe dzieci nie wchodzą w rachubę!“

„Może pan ma rację!“ odparł adwokat; „tak, jeżeli hrabia miał naturalną córkę, to pan baron nie potrzebuje się obawiać! Przypuśćmy jednak, że hrabia Zygmunt Sokolski uznał ją za własną córkę? Albo gdy ta dziewczyna zjawi się nagle i wytyczy proces o spadek?“

„Niema o tem co myśleć!“ zawołał baron. „Po roku należy do mnie cały majątek! Już teraz uważam się za właściwego pana tego zamku.“

W czasie tej rozmowy barona z adwokatem Elza Rodeń zeszła po schodach i udała się do swojego pokoju.

CLVIII.

Plany na przyszłość

Elza panowała nad sobą wobec tych mężczyzn. — Gniew i oburzenie dodało jej sił do poskromienia bólu i łez. Teraz jednak opuściły ją siły. Odczuwała potrzebę samotności.

Lecz w chwili, gdy chciała otworzyć drzwi, wiodące do jej pokoju, pociągnął ją ktoś za suknię. Obróciła się i zobaczyła przed sobą starego Walentego.

Biedny starzec płakał gorzko, a duże łzy spływały mu po zoranej zmarszczkami twarzy. Wyciągnął ku Elzie swoje drżące, spracowane ręce.

„Walenty,“ zawołała panna Rodeń, „wiesz, — słyszałeś najnowszą wiadomość?“

„Wszystko!“ odparł boleśnie starzec, „mówiono głośno; stałem na tarasie! Więc za stary, — dlatego ad acta, uwolniony ze służby i wyrzucony na bruk jak parszywy pies! — I to po pięćdziesięcioletniej służbie!“

„Nie obwiniaj hrabiego Zygmunta,“ zawołała Elza, „wiesz dobrze, że hrabia nie czyniłby nigdy tego! Obecnie jesteśmy zdani na własne siły. Powoli musimy się z tem pogodzić, że na całej ziemi nie mamy ani jednej życzliwej duszy. Nasz najlepszy przyjaciel zginął bez wieści. — Walenty, chodź do mojego pokoju, omówimy naszą przyszłość.“

Służący wszedł z Elzą do pokoju; mężna, młoda dziewczyna, która okazała tyle odwagi i spokoju wobec nowego właściciela, osunęła się z płaczem na fotel.

Z jej oczu padały gorące łzy, a histeryczny płacz wstrząsał całem ciałem dziewczyny, tak, że stary Walenty spoglądał na nią z widocznem zakłopotaniem, nie wiedząc, coby wypadało uczynić.

„Wielmożna panienko, odwagi,“ rzekł stary sługa, zbliżając się do Elżbiety, „nie opuszczę ja pani! Mój Boże, człowiek zaoszczędził trochę grosiwa. Co prawda, nie dużo tego, ale w ostateczności wystarczy dla panienki i biednej obłąkanej.“

Elżutka ze wzruszenia podała rękę wiernemu smludze.

„Dziękuję ci, Walenty, za twoje szlachetne serce. Wiedziałem, że mnie nie opuścisz. Lecz ja nie płaczę nad sobą. Nie, nie lękam się przyszłości; boję się tylko o biedną obłąkaną. Również boli mnie ta myśl, że jestem zmuszona opuścić ten stary, piękny zamek. — Tutaj, gdzie żył hrabia Zygmunt, w tej uroczej kołysce jego przodków, zamieszka teraz nowy pan, a co gorsza, niegodny tego!“

Stary sługa pochylił smutnie głowę. Słowa Elzy wywarły na nim głębokie wrażenie.

„Powoli przyzwyczaimy się do wszystkiego! Proszę o rozkazy! Co mam teraz robić?“

„Dziękuję wam, Walenty, żeście mi przypomnieli moje obowiązki. Teraz trzeba działać i pogodzić się ze smutnem położeniem. „Walenty“, rzekła Elza Rodeń, przykładając rękę do rozpalonego czoła, „dzisiaj wieczór opuścimy zamek hrabiego Sokolskiego.“

„Zrozumiałem!“ odparł zdziwiony Walenty. „Więc do wieczora, droga panienko, mało czasu!“

„Dlatego nie traćmy ani jednej minuty! Przecież nie poniżę się i nie będę prosiła tego człowieka, by mi pozwolił przenocować pod jego dachem. Walenty, moje usta nie wymówią nigdy tej prośby! Niestety nie mam przy sobie dużo pieniędzy. Nie wiem, czy się znajdzie pięćset marek. Że zamku nic możemy nic zabrać, bo to cudza własność. Opuścimy ten zamek jak żebracy. Walenty, dużo zaoszczędziłeś pieniędzy?“

„Mam książeczkę kasy oszczędności na ośm tysięcy marek, które złożyłem z biegiem czasu.“

„Nie mogę przyjąć twoich oszczędności,“ zawołała Elza, spoglądając z rozrzewnieniem na wiernego sługę, „to by było ciężkim grzechem, gdybym to uczyniła.“

„O, nie, pani musi przyjąć!“ zawołał stary Walenty. „Jesteś pani zobowiązaną do tego, chociażby ze względu na nieszczęśliwą obłąkaną!“

„Słusznie, mój Walenty! Odrzucam więc wszystkie pozory, które w twoich oczach wyglądałyby może na pruderję, lub dumę. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to początkowo będziemy żyć z twoich oszczędności. Naturalnie postaram się o zajęcie i zwrócę ci wszystkie wydatki.“

„O zajęcie? Ach, droga panienka nie wie zapewne, jak ciężką jest praca i liche wynagrodzenie.“

„Wszystko jedno! Nie będę przecież siedzieć z założonemi rękoma! O, posiadam pewne zdolności i niemałą dozę sprytu. Będę uczyła malowania. Jakoś to będzie. Walenty, jedź do miasta i wyszukaj jakie małe mieszkanie. Wystarczy nam pokój i dwa gabinety. W pokoju będzie mieszkać obłąkana; gabinety zostaną dla nas. Zgadzasz się na mój projekt?“

„Najzupełniej, droga panienko! Jestem szczęśliwy, że zostanę przy panience. Będę pielęgnował biedną kobietę, a pani wyszuka sobie jakieś zajęcie.“

„Dobrze! Zamów zamknięty powóz, który przewiezie nas wieczorem do nowego mieszkania. Do barona Sokolskiego nie udam się z prośbą o konie.“

„Spełnię wszystko, moja panienko,“ odparł Walenty; dzisiaj wieczór przeprowadzimy się do nowego mieszkania!“

„Walenty, oszczędzaj tylko na każdym kroku. Musimy zapomnieć o komforcie, który nas dotychczas otaczał i urządzić się tak, jak przystało na ubogich ludzi.“

„Może wyszukać jaką służącą?“ zapytał stary Walenty.

„Służącą?“ zawołała Elza, spoglądając z zdziwieniem na starego, „a to poco? Sądzisz, że się boję pracy i nie potrafię utrzymać w porządku mieszkania? O nie, mój drogi Walenty; moje zajęcie pozwoli mi na zajęcie się domowem gospodarstwem.“

„Mój Boże,“ zapłakał stary sługa, „i Ty patrzysz na to spokojnie! Panienka którą pan hrabia nosiłby chętnie na rękach, zamierza teraz pracować jak prosta kobieta? O, gdyby to wiedział nasz dobry zmarły pan!“

„Cicho, Walenty,“ zawołała Elza, „nie mów o Zygmuncie, że umarł! Wiem, i czuję: Zygmunt żyje! Nie zamordowano go; nie leży w zimnym grobie! Zobaczę go jeszcze. Wewnętrzny głos mówi mi: powróci i przeszkodzi, by jego ukochany zamek przodków przeszedł w obce, niegodne ręce.“

Staremu Walentemu zdało się, że przez usta Elzy Rodeń przemówił duch proroczy.

Jego dobre, skołatane serce, ożywiło się znowu nadzieją i pewnością.

CLIX

„Ciocia Anielcia"

Zostawiliśmy Anielcię w podejrzanem i nieprzyjemnem towarzystwie, w domu wdowy Majerhof, przed którą ostrzegł ją radca opiekuńczy Kolbe.

W nocy, po odwiedzinach radcy, Anielcia nie mogła usnąć.

Teraz, gdy jej Kolbe otworzył oczy, zrozumiała wiele, co widziała i słyszała u rodziny Majerhof.

Tak, trzeba się wyprowadzić, — lecz dokąd?

Nie mogła znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Trudno będzie wyszukać takiego taniego mieszkania, jak ten gabinet u wdowy Majerhof.

Ach, zarabiała niewiele; liche wynagrodzenie starczyło zaledwie na najniezbędniejsze potrzeby codziennego życia!

Tembardziej ucieszyła się Anielcia, odebrawszy następnego dnia list od radcy opiekuńczego Kolbego, który zapraszał ją uprzejmie do siebie, chcąc się z nią podzielić radosną nowiną.

Anielcia ubrała się i poszła do radcy opiekuńczego, mieszkającego również we wschodniej dzielnicy Berlina.

Stary radca przyjął Anielcię nadzwyczaj serdecznie. Przedstawił ją swojej żonie, która właśnie siedziała przy oknie i robiła pończochy dla męża.

„Niech pani siada!" rzekł Kolbe i usadowił się przy staroświeckiem biurku; „musimy pomówić. Od wczorajszego dnia myślę ciągle o pani. Uważam się za dobrego znawcę ludzi; przeszło dwudziestu pięciu lat jestem na stanowisku radcy opiekuńczego.

„W czasie dotychczasowej czynności widziałem różnych ludzi, których przejrzałem na wskroś. Jestem przekonany, że pani jest porządną dziewczyną i dlatego chciałbym jej pomóc. Proszę powiedzieć otwarcie, ile zarabia pani obecnie?"

„Bardzo mało, panie radco opiekuńczy!"

„Spodziewałem się! Tak, delikatna robota nie daje dużego dochodu. Można sobie pokrwawić ręce i stracić wzrok, zanim człowiek zarobi na życie!"

„Tak jest, panie radco!"

„Może życzy sobie pani obecne zatrudnienie zamienić na inne zajęcie?"

„Chętnie zawołała Anielcia. „Byłabym panu wdzięczna, gdyby mi pan radca dopomógł do jakiego zajęcia! Ukończyłam szkoły i posiadam pewne zdolności. Mówię po francusku i angielsku, gram na fortepjanie i mogłabym przyjąć miejsce bony w lepszym domu."

„Tak, tak! Lubi pani dzieci?"

„Tak jest, panie radco! Byłabym bardzo szczęśliwą, gdyby mi powierzono opiekę nad dziećmi."

„Zechce pani zaopiekować się nieszczęśliwemi stworzeniami, które opuszczone przez rodziców, zdane są na łaskę obcych ludzi? Jak się pani zapatruje na to?" zawołał Kolbe.

„Mojem zdaniem, panie radco", odparła poważnie Anielcia, „obcowanie z biednemi dziećmi wpływa korzystnie na charakter porządnej dziewczyny. Po drugie, między dziećmi nie powinno się robić żadnej różnicy ze względu na pochodzenie!"

„Ślicznie! Słowa pani podobają mi się! Widzę, że pani jest zupełnie zdolną do objęcia miejsca, które chcę poruczyć pani! Proszę słuchać uważnie, o co się rozchodzi.

„Obok licznych godności honorowych jestem także prezydentem stowarzyszenia opieki nad opuszczonemi dziećmi. Stowarzyszenie zajmuje się wychowaniem sierot i dzieci, które są ciężarem dla rodziców. Takie opuszczone dzieci umieszczamy za odpowiedniem wynagrodzeniem u ubogich rodzin, które znajdują się pod ustawiczną kontrolą naszego stowarzyszenia. Dotychczas sprawowała ten urząd jedna pani i pobierała miesięcznie sto marek. Niestety umarła przed miesiącem i opróżnione miejsce nie zostało dotychczas obsadzone. — Statuty stowarzyszenia żądają, by kobieta, ubiegająca się o tę posadę, miała skończone czterdzieści lat. Pojmuje pani: doświadczony wiek daje nam pewną gwarancję. Lecz tą razą przyjmuję na siebie odpowiedzialność przed członkami stowarzyszenia, jeżeli przekroczę przepisy i przyjmę panią na tę posadę. — Dobrze? Zgadza się pani?"

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Nujciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dn:a 12 lipca 1936 r.

8.00 Audycja poranna. 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia. 12.03 Poranek muzyczny z Wilna. 14.30 Audycja dla wsi — słuchowisko p. t. „Ojcowizna". 15.30 Muzyka rozrywkowa z płyt. 16.30 Reportaż z życia. 17.00 Koncert solistów. 18.00 Teatr Wyobraźni u obcych — słuchowisko p. t. „Pozytywka". 18.30 Koncert rozrywkowy. 20.25 Co czytać. 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali". 21.30 „Wieczór wśród górali" — suita Tadeusza Sygietyńskiego. 22.20 Muzyka salonowa i taneczna.

Poniedziałek, dnia 13 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna. 12.03 Muzyka operowa z płyt 15.45 „W co się będziemy bawili" — transm. z ogródka dziec. w Wilnie. 16.00 Koncert z Ciechocinka. 16.45 „Wakacje bez wyjazdu" — pogadanka. 17.00 Koncert w wyk. Czesławy Pereson. 16.30 Koncert Tow. Mandolinistów „Maska" z Wilna. 17.50 „Myśliwska prawda" — pogadanka. 19.00 Audycja strzelecka. 1930 Stare tańce. 19.55 „Album starych widokówek" — lekka audycja muzyczna. 20.30 „Pod urokiem Prowancji" — feljeton. 21.00 Koncert wieczorny z udziałem Mieczysława Saleckiego. 22.15 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej i muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 14 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna. 12.03 Koncert zespołu salonowego Eugenjusza Raabego. 16.00 Fantazje — koncert z płyt. 16.45 „Car Szujski w Warszawie" — odczyt. 17.00 Koncert z Parku Wilsona w Poznaniu. 18.00 „Spacer za rogatki Warszawy" — pogadanka dla dzieci starszych. 19.00 Recital śpiewaczy Ady Hecht. 19.30 Koncert Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego z przyśpiewkami. „Humor literatów poznańskich w XIX wieku" — szkic literacki. Koncert muzyki francuskiej. 22.15 Muzyka taneczna z Ciechocinka i Cafe — Club'u.

Środa, dnia 15 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna. 12.03 Muzyka lekka i taneczna z basenu w Ciechocinku. 15.45 „Od kominiarczyka do zegarmistrza" — słuchowisko dla dzieci. 16.15 Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radja. 17.00 „Pieśni wiosenne" w wykonaniu Sławy Gogojewicz. 17.30 Muzyka. 17.50 Adam Czartoryski" — odczyt. 19.00 Muzyka salonowa. 19.30 „Czepiny" — obraz z „Wesela na Górnym Śląsku".. 20.00 Muzyka z płyt. 20,30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji" — „Nieziszczalmit ciszy" transmisja z podwórka w Łodzi. 21.00 IV audycja z cyklu „Kandydaci do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego". 21.30 Recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej. 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 16 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna. 12.03 Koncert solistów z płyt. 12.55 „W obronie przed klęską pożarów" — pogadanka. 15.45 „Hokus pokus dominikus" — audycja dla dzieci. 16.00 Koncert z Ciechocinka. 16,45 Odczyt wojskowy. 17.00 Koncert orkiestry kameralnej. 19.00 „Panienka radjowa" — premjera słuchowisko w Teatrze Wyobraźni. 1930 Recital fortepianowy Marji Bilińskiej. 20.00 Hiszpańska pieśń ludowa 21.00 Nasze pieśni — pieśni Feliksa Nowowiejskiego. 21.30 Kwintet fortepianowy c-moll op. 61 Władysława Żeleńskiego. 22.15 Muzyka salonowa i taneczna.

Piątek, dnia 17 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna. 12.03 Zespół salonowy Pawła Rynasa. 16.00 „Na cześć słońca" — audycja muzyczna. 16.45 „Wolna szkoła wojskowa w Warszawie w latach 1914—1915". 17.00 „Wschodnie nastroje". 19.00 Koncert symfoniczny z Wawelu w Krakowie. 21.05 Muzyka lekka w wykonaniu Malej Orkiestry P. R. 22.15 Koncert laureatów wiedeńskich. 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 18 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna. 12.03 Koncert muzyki lekkiej w wykonaniu orkiestry Tadeusza Seredyńskiego. 14.30 Orkiestra Marka Webera i Jeanette Mac Donald. 15.45 „Ze śpiewem przez Polskę" — audycja muzyczna. 16.00 Koncert solistów. 17.00 Koncert orkiestry symfonicznej z Parku Wilsona w Poznaniu. 17.50 Puszcza rudnicka — pogadanka. 19.00 „Na zakończenie tygodnia" — wieczór muzyki lekkiej. 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą: „Poznajmy Wileńszczyznę". 21.00 Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej. 22.15 Kwintet Salonowy Stefana Rachonia oraz muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

R E B U S W I R O W Y

uł. F. Gałecki



Objaśnienie: Rebusy wirowe różnią się tem od zwykłych, że nie mają początku ani końca. Gdziekolwiek zaczniemy je odczytywać, wynik będzie ten sam. Powyżej zamieszczony rebus ilustruje przysłowie o początkowych literach: p. w. o. k.

B I L E T Y W I Z Y T O W E

uł. W. M.

Ks. H. Moltoz

Ks. Wład. Woyto

Dr. G. Labe

Gdzie mieszkają właściciele biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku 17 lipca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 26 „Moich Powieści": Konikówka: 1. Kalina 2. Wujek Janusz 3. Idealista Pałucki 4. Jadźka z Kujaw 5. Manola 6. Ika 7. Biały Murzyn 8. Ord-Om 9. Zawisza Czarny. Szarada: „Moje Powieści".

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Marcin Łojecki — Poznań, Henryka Pierzchalanka — Kalisz, Anna Piotrowska — Łódź, Benon Zgierzyński — Wadowice, E. Wawrzynowicz — Piaski, Andrzej Wost — Ostrowite, Kazimierz Jatkowski — Poznań, „Samotny Rom" — Aleksander Jezierski — Mogilno, Djonizy Janicki — Gniezno, Wacław Bultrowicz — Gniezno

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Henryce Pierzchalance z Kalisza i Benonowi Zgierzyńskiemu z Wadowic.

H-U-M-O-R

Roztargniony

— Już cały tydzień minął — mówi żona profesora — od czasu gdyś mnie ostatni raz pieścił.
— Czyż nie pieściłem cię dopiero wczoraj?
— Nie, wcale nie!
— Eh, to kogoż ja pieściłem...

Przodkowie

On: — Gdybym zliczył wszystkich moich przodków dałoby to sporą cyfrę.
Ona: — Tak? A z iloma zerami?

Komplement

— Słyszałem dziś pani śpiew.
— Och, wie pan, śpiewałam tylko ot tak sobie... żeby zabić czas....
— Straszna broń...

Wykształcenie

We wnętrzu piramid widziałem ściany, pełne hieroglifów...
— A nie odczuwał pan, panie profesorze wstrętu przed tem robactwem?

Pewność

— Panie doktorze, czy pan doktor aby się nie myli? Bo słyszałem, że jednego pacjenta leczyli na zapalenie płuc, a on umarł na tyfus.
— Niech pan będzie spokojny. Jeżeli ja kogoś leczę na zapalenie płuc, to umrze na zapalenie płuc.

Teściowa

Ona do męża: — Chciałabym napisać mamie, żeby do nas przyjechała.
On: — Co? teraz w lecie?
Ona: — a więc kiedy?
On: — Lepiej w grudniu, wówczas dni są przynajmniej krótsze.

Tam i spowrotem

— Wy młodzi, lubicie wygodę. Ja za moich młodych lat robiłem pieszo trzydzieści km. poto tylko, aby dać komuś po buzi!
— A wracałeś też pieszo wujciu?
— Nie, odwieziono mnie w karetce pogotowia

Nasze dzieci

— Wyobraźcie sobie — mówi nauczyciel w szkole — że oto ojciec wasz przychodzi wieczorem do domu, zmęczony po pracy. Co będzie teraz robił?
Milczenie.
— No, Józiu, pomyśl! Dzień przeszedł, praca skończona, co robi teraz ojciec?
— Właśnie, mamusia też chciałaby wiedzieć, co ojciec robi wieczorem!

Niech i on odczuje

Do kantoru wynajmu służby domowej wpada klijent, czerwony, zaperzony, wściekły.
— Czy to pan polecił nam kucharkę?
— Tak, ja.
— Chodź pan ze mną! Zaraz! Marsz! Będziesz też jadł obiad!

Wśród malarzy

— Jak malowałem kwiaty — mówi pierwszy — to oglądający wąchali płótno, takie były naturalne.
— Phi, to jeszcze mięta — chwali się drugi — jak ja namalowałem jednemu klijentowi psa, to mu w domu ginęła kiełbasa.

Zaleta

— Mamo, chcę się ożenić z Zosią!
— Ależ synu, ona jest dla ciebie zamłoda
— Przytem biedna, — mówi ciotka.
— Zdaje się, że lekkomyślna — wzdycha babka.
— Nie ma gustu — dodaje siostra.
— Ale ma najważniejszą zaletę. Nie ma rodziny!

Dobry wnuczek

Staś do rozgniewanej matki:
— Tylko mnie nie bij, mamusiu. Wiesz, jak strasznie babcię boli serce, kiedy się dowie, że dostałem w skórę.

Ułatwienie

Sędzia: — Świadkowie twierdzą, że oskarżony ma jedną żonę w mieście, a drugą na wsi. Jak to jest możliwe?
— Mam rower, panie sędzio.

„Japończyki"

Do przedziału wagonu wchodzi Lwowianin i na widok ojca woła radośnie:
— Ta joj! Ta tato tu? Ta i ja tu!
Mały chłopczyk, siedzący obok nachyla się do ucha mamy i mówi szeptem:
— Mamusiu! Japończyki!

Trening

— Mąż mój jest zupełnie wyczerpany. Przygotowuje się do jutrzejszego bankietu.
— Uczy się mowy?
— Nie, pości!

Dziwne miasto

— Jakto, w całem mieście niema ani jednego pomnika? Czy u was się nie urodził nigdy żaden wielki człowiek?!
— Nie. U nas się głównie rodzą małe dzieci.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. - Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie